

KAMENIA

DWUTYGODNIK LITERACKI

W NUMERZE: „Książki Karola Maya są naprawdę piękne...” • Dwa Kraśniki – jeden Dom Kultury
• W kręgu autentyzmu • Serca za drutem • Saint John Perse • Kto dostanie w „lep” • Gdybym był kobietą • I in.

Ostatni dzień ślepego Toma

JAN PARANDOWSKI

Jan Parandowski wydaje w tym roku tom pt. „Juvenilia” gdzie znajdują się różne jego utwory młodzieńcze. Niniejsze opowiadanie jest wcześniejsze o rok od daty jego opublikowania w r. 1920, w lwowskim „Dzienniku Ludowym”. Gdy artysta dramatyczny Janusz Warnecki odczytał je niedawno na wieczorze autorskim Jana Parandowskiego w warszawskim Związku Literatów, autor wyjaśnił, że ta „science-fiction” z czasów, kiedy ten termin jeszcze nie istniał, wiąże się w jego pamięci z gorącymi dyskusjami o teorii względności, jakie toczyły się nazajutrz po pierwszej wojnie światowej.

W roku 2100 zaczęto mówić nagle o końcu świata. Było to zjawisko dość uderzające, albowiem od dawna zarzucano ten jałowy i niepokojący temat. Pod koniec wieku XX nawet przekupki miejskie nie myślały o tym, zwłaszcza że rachuby z „ostatnim” papieżem okazały się zawodne. Wierzenia zaś mileniumistyczne oparte na przesądzie co do fatalnej tysiączki w tak odległej epoce straciły już kredyt, że zdumienie ludzi poważnych nie miało granic, gdy posłyszeli znów wieść, która żalobnym kiem omraczała dusze współczesnych Karola Wielkiego. Gawędy uliczne i kawiarniane obły się o dzienniki, którym dostarczyły mniej lub więcej dowcipnych felietonów.

Po pewnym jednak czasie prasę za niepokoiło milczenie astronautów, którzy zwykle w takich razach z uprzedząco uprzejmością przyjmowali zaproszenie do wypowiedzenia swej opinii na łamach wielkich pism.

Teraz zaś wszyscy uparcie milczeli, w klubach i na pytania przedstawicieli dzienników dawali wymijające odpowiedzi i ze źle ukrytym zmieszaniem usiłovali zmienić przedmiot rozmowy.

W istocie sami astronomowie byli w niemalym kłopotcie. Nauka ich z postępem badań straciła tę boską pewność siebie i chociaż wyroki jej dla pospolitych spraw ziemskich zawsze jeszcze posiadały wybitne znaczenie, uczonych nie przekonywały już trafne obliczenia, wobec coraz liczniejszych omyłek. Wiele zaś przemawiało za tym, że rok ten może stać się dla ziemi i jej mieszkańców krytycznym. Jedną z komet, która gdzieś się zawierzyła była w przestworzu, miała, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zjawić się znów na ziemskim widnokręgu i to bynajmniej nie ku rozweseleniu umysłów, lub ku obróceniu rozmów towarzyskich do rzeczy wyższych. Wszystko raczej wskazywało na to, że nastąpi zetknięcie się komety z ziemią, które może spowodować coś o wiele gorszego, niż ten niezapomniany grad gwiazd spadających, rozsypany przez kometa Bieli 27 listopada roku 1872. Na myśl o gigantycznej katastrofie niejednym z uczonych z tajoną radością i dumą wróżył sobie los Pliniusza Starszego, zapisują-

cy pod lawą i popiołem Wezuwiusza swe ostatnie spostrzeżenia.

Ponieważ każdy z astronomów chciał się ostatecznie upewnić i porównać własne obserwacje z cudzymi, zwołano międzynarodowy kongres astronomów, który odbył się w Brukseli przy niezwykłym dla zebrań podobnych leczym współudziale. Nie tylko wszystkie laboratoria były reprezentowane, ale po prostu nie brakło nikogo, kto imię swoje na polu badań gwiazdarskich zapisał. Obrady trzymane były w najściślejszej tajemnicy. Kiedy wreszcie podniesiono kwestię, czy należy ogłosić bliskość katastrofy, wobec stanowczej jej pewności, powstał z miejsca senor astronomów, starszynek dziewięćdziesięcioletni i tak przemawiał:

— Nie powinniśmy wyzyskiwać naszej wiedzy na to, by odbierać ludziom spokój dni ostatnich. Byłoby to bezmyślnym okrucieństwem. Owszem należy zaprzeczyć kursującą pogłoskom, postępując tak, jak to czynią lekarze u łóżka konającego. Nieszczęście, które przyjdzie niespodzianie i zmiecie ludzką, nie pozwalając jej nawet na chwilę świadomości jej cierpienia, przyjdzie niepostrzeżone. Natomiast o ile je zapowiemy na wiele dni naprzód, przysporzymy ludziom zbędnej udręki i śmiertelnego strachu.

Słów seniora jednak nie słuchano. Mówiono o obowiązkach społecznych i religijnych. Nie zapomniano o powinnościach naukowych, które zawsze kazały astronomii oświecać przed ludzką ścieżką drogę, po której kroczy. Pogląd, aby odsłonić światu całą prawdę, przeważył, albowiem nikt nie chciał odmówić sobie przyjemności, jaką sprawia ogłoszenie sensacyjnych wiadomości. Zanim jednak zdołano zrehabilitować odpowiedni biuletyn, który miał być zwieszony i uroczysty zarazem, katastrofa nastąpiła teje samej nocy.

Spustoszona, jakim uległa ziemia, nie dądzą się opisać. Głazy olbrzymiej wielkości przeszywały atmosferę, a rozżarzącą walek tarcia powietrze i same siebie, wywoływały ogniste cyklony. Całe obszary Azji i Afryki ogarnął pożar, który zniszczył wszelkie życie na ich powierzchni. Las Kongo spłonął w jednym mgnieniu oka, jak pudełko zapalek, pozostawiając kupę popiołów. Morze wyschło, ukazując swe dno, pokryte lawicami piasku. Ocean Indyjski zalał potężną falą wszystkie lądy dokoła. W innym miejscu rozwarł się krater o kilkometrowej średnicy i stał ogniem z głębi ziemi. W innych częściach świata wygnęli ludzie i zwierzęta od gazów trujących, którymi przepchnięta była atmosfera.

Został tylko mały skrawek lądu, na którym ocalało największe miasto na świecie — Londyn. Morze oderwało ten szmat ziemi, czyniąc zeń maleńką wyspę na ogromnym pustkowiu wód. Pozbawieni wszelkiej komunikacji z resztą świata, ukryci w piwnicach, Londyńczycy marli ze strachu, słysząc straszliwe huk i grzmoty, wśród których rozsypanywała się w gruzy wielo-

wiekowa praca cywilizacji ludzkiej. Nie mieli nawet pojęcia, iż są jedną wielką arką Noego, uratowaną niewytłumaczonym zbiegiem okoliczności od powszechnej zagłady.

Gdy się nieco uciszyły żywioły, ludzie zgłodniałi wyszli ze swych kryjówek. Z sercem trwożą ścisniętym patrzyli na pomarszczoną z lekka powierzchnię morza, które pochłonawszy „starą Anglię” oblewało ich samotną wyspę błękitnym kręgiem. Natomiast ze zdumieniem i radością zobaczyli, jak szkody były nieznaczne w ich mieście i że nawet okręty, stojące na rusztowaniu w dokach, ocalały.

Zycie poczęło wracać do normalnego biegu. Spuszczono przede wszystkim okręty i zabrano się do budowy nowych, albowiem ekspedycja za ekspedycją wyruszała codziennie. Podróżnicy wybierali się naokoło świata, aby nakreślić nowe mapy. Przekonano się, że dość niedaleko istnieje znacznej wielkości wyspa, której gleba okazała się niezwykle żyzna. Natychmiast wysłano tam całe kolonie celem uprawy roli i hodowli bydła, albowiem zapasy nie mogły wystarczyć na długo. W kościołach odbywały się bez przerwy nabożeństwa dziękczynne i religijność u szerokiej mas wzmożła się niepomiernie. Powstało mnóstwo proroków, których słowom dodawały prawdy niedawne chwile trwogi. Mnożyły się sekty, a jakiś rybak ustawił koło swej łodzi trójząb, któremu wraz z rodziną oddawał cześć boską. We wszystkich laboratoriach i instytucjach naukowych wrzała gorączkowa praca. Wydawano olbrzymie tomy i tysiące broszur oma-

(Dokończenie na str. 5)

NA ZIEMIACH ZACHODNICH



Z braterskiej współpracy miast: Bytom Odrzański rozwija się dzięki pomocy Bytomia Śląskiego.

„Książki Karola Maya są naprawdę piękne...”

W świetle materiałów otrzymanych z biblioteki Szkoły Podstawowej Nr 1 w Lublinie wydawać by się mogło, że sprawa czytelnictwa wśród młodzieży wcale nie wygląda źle. W lutym br. uczniowie obu klas VI (ok. 75) wypożyczyli 284 książki, w marcu zaś 220, natomiast uczniowie klas VII (ok. 75) w tym samym czasie przeczytali: w lutym 272, a w marcu 201 książek. Wypada stąd, że każdy uczeń wypożyczał co tydzień książkę z biblioteki szkolnej. Największą poczytnością wśród młodszych cieszyły się dwie książki: K. Czyżowskiego „Jim żeglarz” i M. Kann „Góra czterech wiatrów”. Wśród najstarszej młodzieży pierwszeństwo należy przyznać „Krzyżakom” Sienkiewicza, na drugim zaś miejscu wypada postawić „Lowców wilków” Curwooda. Zarówno liczba przeczytanych książek, jak i tytuły najpopularniejszych z nich — nie budzą zastrzeżeń. Właściwie więc nie

byłoby powodu do rozważań, gdyby nie ankieta, którą przeprowadziliśmy w obu klasach VI i VII tejże szkoły Nr 1. Konfrontacja materiałów otrzymanych z biblioteki z wynikami ankiety dała zaskakujące rezultaty. Okazało się, że młodzież czyta bardzo dużo książek, nie jedną tygodniowo, lecz kilka, z tym jednak, że procent pozycji pożyczanych z biblioteki szkolnej jest bardzo mały. W szkole pożyczają się głównie tzw. pozycje z lektury, zaś z bibliotek publicznych i prywatnych zdecydowaną większość książek.

Co czyta młodzież starszych klas szkół podstawowych? Jakiej są jej ulubione książki, jacy pisarze, bohaterowie? Odpowiedzi na to pytanie przynosi właśnie ankieta, w której wzięło udział 138 uczniów z klas VI i VII Szkoły Podstawowej Nr 1, w tym 63 dziewczynki i 75 chłopców.

E. i R. ROSIAK

Jeśli chodzi o ulubione książki — dziewczynki na pierwszym miejscu wymieniają „Anię z Zielonego Wzgórza”, która uzyskała 21 głosów, na drugim miejscu stoi powieść „W pustyni i w puszczy” (19), na trzecim „Parienka z okienka” (11). Dalej idą: „Serca za drutem” (9), „Chata za wsią” i „Wspomnienia niebieskiego mundurka” (po 6), „Winnetou” (5), „Quo vadis”, „Narodziny serca” i „Trylogia” (po 4), „Wodna lilia”, „Robinson Kruszo”, „Dzieci kapitana Granta” i „Kanon Słonej Rzeki” (po 3). „Awantura o Basie” otrzymała tylko 2 głosy, a „Dziewczęta z Nowolipek”, „Emancypantki”, „Dywizjon 303” i „Trędowata” po 1.

U chłopców sytuacja przedstawia się nieco inaczej. Bezkonkurencyjny jest „Winnetou” — 38 głosów, dalej idą: „Trzej muszkietierowie” (14), „Old Surehand” (12), „Wodna lilia” (10), „W pustyni i w puszczy” (8), „Tomek na wojennej ścieżce” i „Przygody Tomka Sawyer’a” (po 7), „Orli szpon” i „Jeździec bez głowy” (po 6), „Tajemnicza wyspa”, „Trylogia”, „Orinoko”, „Wicehrabia de Bragellonne” i „W dwadzieścia lat później” (po 5), „20.000 mil podwodnej żeglugi”, „Dzieci kapitana Granta” i „Kanon Słonej Rzeki” (po 4), „Serca za drutem”, „Kolumbowie — rocznik 20” i „Narodziny serca” (po 3). Z innych książek warto jeszcze wymienić takie, jak: „Lamigłowa”, „Dywizjon 303”, „Młody wygnaniec”, „Ządło Genowefy” (po 2) oraz „Dzikuska”, „Tarzan” i „Monte Cassino” (po 1).

Przytoczone tytuły i cyfry mówią najwymowniej o tym, że o ile dziewczęta potrafią często dotrzeć do wartościowej lektury, o tyle chłopcom

udaje się to rzadziej. Mamy prawo cieszyć się z tego, że jedną z najpopularniejszych książek jest „W pustyni i w puszczy”, ale zbyt wiele jest okazji, w których mało wartościowych, sensacyjnych i kryminalnych. Na specjalne podkreślenie zasługuje bardzo wysoka lokata „Serca za drutem”. Poza Sienkiewicza jednak klasycy polscy nie isnieją dla chłopców niemal zupełnie. Ilustracje to znoważko zresztą najlepiej odpowiadają na pytanie dotyczące ulubionych pisarzy.

U chłopców bezkonkurencyjny jest Karol May — 50 głosów, następują miejsca zajmują: Sienkiewicz (33), Verne (19), Curwood (12), Dumas i Makuszyński (po 10), Meisner (8), Twain, London (po 5), Jaworski, Umiński, Dickens, Szklarski i Kosciński (po 4), Cooper, Włochowski, Prus i Centkiewicz (po 3), Amiel, Zeromski, Fiedler i Gordon (po 2), A. Christie, Morcinek i Przyborski (po 1).

Dziewczęta pierwsze miejsce przynajmniej Sienkiewiczowi — 36 głosów, następnie idą: Prus (23), Konopnicka (21), Makuszyński (14), Orzeszkowa i Verne (po 11), Kraszewski i Montgomery (po 10), Jaworski i Curwood (po 7), Deotyma i Morcinek (po 6), London (5), May (4), Dickens, Rodziewiczówna i Twain (po 3), Zeromski (2), Grabiński, Porazińska, Umiński, Fiedler i Gojawicyńska (po 1).

Wymowa cyfry jest tak mocna, że właściwie trudno się nawet zdobyć na komentarz. Cóż bowiem można napisać na temat tego, że May otrzymał 50 głosów, Prus 3, Zeromski 2, a Kraszewski, Orzeszkowa, Dąbrowska, Nalkowska i wielu innych ani jednego głosu u chłopców? Poezję reprezentuje tylko Konopnicka, lubiana zresztą wyłącznie przez dziewczęta Razi bardzo niską lokatą Fiedlera i Umińskiego, cieszy zaś to, że „Dzikuska” i „Trędowata” zdobyły tylko po 1 głosie. Trudno — rzecz jasna — wymagać od 13 czy 14-letnich dziewcząt i chłopców, by rozczytywali się w powieściach Zeromskiego, Struga

(Dokończenie na str. 7)

Dwa Kraśniki — jeden Dom Kultury

JÓZEF ZIĘBA

Za kilkadziesiąt lat będą to na pewno dwie odległe od siebie dzielnice. Dziś stanowią dwa odrębne miasta. Kraśnik (niektórzy dodają „Stary”) dźwiga na sobie prawie dziesięć wieków historii, a że więcej spotkało go w tym czasie klęsk aniżeli powodzeń, więc po świetności pozostały jedynie dwa zabytkowe kościoły, a po klęskach i pożarach dziesiątki walcących się ruder i tradycyjne powiatowe troski. A więc i instalacja sieci wodociągowo-kanalizacyjnej, budowa szpitala i nowoczesnego osiedla domków jednorodzinnych.

Poza tym pozostaje jeszcze opieka nad zaniedbanym gospodarstwem i kulturalnie powiatem. To ostatnie zadanie jest niewątpliwie najtrudniejsze.

Nie zna tych trosk i kłopotów Kraśnik Fabryczny. Rozrósł się on w przeciągu dziesięciu lat z przyfabrycznego osiedla w dziesięciotysięczne ZOR-owskie miasto. Ustawione w równe szeregi bloki przypominają taką sobie nieco w mniejszych rozmiarach Nową Hutę. Fabryka łożysk kulkowych przez swą specjalność jest oczkiem całego krajowego przemysłu. Nie więc dziwnego, że u mieszkańców Kraśnika Fabrycznego zaczyna wytworzać się swoisty patriotyzm. Jego cechą charakterystyczną jest poczucie ważności zakładu i miasta. Oczywiście coś z tego musi spaść i na jego mieszkańców. Korzystają więc bez zastrzeżeń ze wszystkich wygód i udogodnień, uważając je zresztą słusznie za zupełnie naturalne.

Można powiedzieć, że ludzie w przeciągu kilku lub kilkunastu lat już przyrosli do tych udogodnień i do życia uzależnionego od rytmu pracy i wymogów fabryki. Postawione przed sobą wymagania wyższych kwalifikacji pociągnęły za sobą tłumy ludzi dążących do wieczorowej szkoły, na różnego rodzaju kursy i na wykłady otwartego niedawno uniwersytetu powiatowego. Jeden z mieszkańców Kraśnika Fabrycznego powiedział mi, że to teraz prawie każdy się czegoś uczy. Oczywiście może być w tym stwierdzeniu trochę przesady, ale ponad setka słuchaczy uniwersytetu powiatowego o czym świadczy ze względu na zrozumiałych cieszy się tu największym powodzeniem wiedza techniczna, niezbędna do świadomego posługiwania się maszyną.

Niemalą więc będzie miał pracę w takim mieście Związkowy Dom Kultury. Wybudowano go z dużym rozmachem. Dziś jest to najlepszy tego typu budynek na terenie całego województwa. Spora ilość pomieszczeń oraz duża i dobrze wyposażona sala widowiskowa stwarzają dogodne warunki pracy kulturalnej i oświatowej w środowisku. Jednak utrzymanie stałych amatorskich zespołów nie jest tu łatwe. Słężą się więc po wykładowców do Lublina, a nawet Warszawy, by zapewnić uczestnikom atrakcyjność zajęć i odbiorcom wysoki poziom artystyczny programu.

Oczywiście nie ograniczono się w ZDK jedynie do pracy zespołów arty-

stycznych. Znaleźli tu schronienie krótkofalowcy i emeryci, PTTK, Uniwersytet Powszechny, ZDK rozwija również żywą działalność wśród dzieci. I tu jedna ciekawostka, a raczej duże udogodnienie dla matek. W ZDK otworzono chyba pierwszą w województwie przechowalnię dzieci na czas, gdy matki idą na film lub przedstawienie. Tu dzieci w czasie nieobecności rodziców słuchają bajek ilustrowanych przez-roczami lub bawią się pod opieką instruktorki.

Nie będą wyliczał wszystkich form pracy ZDK, chodzi mi jedynie o wskazanie na duże możliwości pracy takiej placówki w kształtującym się nowym środowisku. Potrzebny tego środowiska z każdym rokiem będą wzrastać. Po zaspokojeniu zapotrzebowania na wiedzę nastąpi niewątpliwie masowe zapotrzebowanie na inne dobra kulturalne. Zapotrzebowaniom tym ZDK będzie musiał sprostać, chociaż już dzisiaj kierownictwo domu kultury uskarża się na ciasnotę. Przed ZDK stoją jednak jeszcze większe zadania. Już dzisiaj żadna impreza odwiedzająca nasze województwo nie omija Kraśnika Fabrycznego (najlepsza poza Lublinem scena i sala widowiskowa przyciąga wszystkich). Kraśnik „Stary”, nie posiadający takich warunków, musi korzystać z usług Fabrycznego. Podnosi to jeszcze bardziej rangę młodego miasta, które ma szansę stać się nie tylko ośrodkiem przemysłowym, ale i kulturalnym promieniującym na cały powiat.

Niestety dotychczas jeszcze Kraśnik Fabryczny nie spełnia tego drugiego zadania. Największe w tym względzie pole do popisu miałby oczywiście Związkowy Dom Kultury. Dom ten jednak programowo stara się zacieśnić swą działalność do pracy środowiskowej. Na pewno w tym względzie są bardzo duże potrzeby w nowo powstałym mieście, ale wystarczy wyjechać parę kilometrów na pierwszą lepszą wieś, aby się przekonać, że tam potrzeby są jeszcze większe. Byłoby niesprawiedliwością twierdzenie, że nie w tym względzie ZDK nie robi. W każdej chwili kierownictwo ZDK może wylegitymować się ilością imprez wywiezionych do różnych miejscowości. Jest to jednak trochę handlowe (choć nie zawsze rentowne) podejście do zagadnienia. Wiadomo, na wsi jest chłonny rynek na wszelkiego rodzaju produkcję kulturalną, więc jedzie się tam z imprezami. Pozornie załatwia to całą sprawę, jednak tylko pozornie. Wieś bowiem nie tylko chce być konsumentem dóbr kulturalnych. Wieś chce je wytwarzać. I tu o wiele bardziej potrzebna jest wsi pomoc zwłaszcza instrukcyjno-metodyczna. Na pewno ZDK w Kraśniku Fabrycznym mógłby udzielać takiej pomocy zespołom i świetlicom pracującym w powiecie. Jest to po części nawet jego społecznym obowiązkiem.

Obowiązek ten jest tym poważniejszy, że Kraśnik „Stary”, uwikłany w kłopoty gospodarcze, nie może na razie potrzeb tych zaspokoić. Wyjście poza mury ZOR-owskiego miasta ma jeszcze i to poważne znaczenie, że przeciwdziała tworzeniu się środowiskowego getta. Szeroki kontakt kulturalny obydwu miast z całym powiatem na pewno pomoże rozwiązać wiele wspólnych problemów. Taki kontakt wpłynie na podnoszenie się poziomu kulturalnego i społecznego wszystkich środowisk. To byłoby największym osiągnięciem pracy wychowawczej Związkowego Domu Kultury w Kraśniku Fabrycznym.

„Teren” pracuje

NIELEDEW — PRZYKŁAD „NIETYPOWY”. W małym zakładzie pracy zatrudniamy na trzy zmiany około trzystu pracowników nielato jest zorganizować choćby skromne formy życia kulturalnego. Trudności te powiększają się jeszcze bardziej, gdy zakład taki jest oddalony o wiele kilometrów od miasta. Ludność okoliczna traktuje pracę w zakładzie jako dodatek do tradycyjnego zawodu rolnika. Oczywiście nie może być mowy o zawiązywaniu się wśród pracowników więzi społecznej wynikającej ze związku z wspólnym zakładem pracy. Na Lubelszczyźnie nie brak przykładów na potwierdzenie tego spostrzeżenia, wystarczy chociażby obejrzeć rozrzucone po całym województwie cukrownie, gorzelnie czy tartaki.

Na pewno nietypowym pod tym względem przykładem będzie Nieledew w powiecie hrubieszowskim. Istnieje tu niewielka Wytwórnia Win. Właściwie wszystko wskazuje na to, że i tu powinno się dziać podobnie, jak w innych tego typu zakładach. Warunki są niemal identyczne, jednak dzięki wysiłkom dyrekcji zakładu udało się stworzyć przy popularnie nazywanej „Winiarni” zespół piosenki i tańca złożony z czterdziestu osób. Z zespołem tanecznym pracuje młoda, bardzo sympatyczna i energiczna nauczycielka Aleksandra Gurgul. Chór zaś jest prowadzony przez Wacława Matrasa z Hrubieszowa. Dzięki wysiłkom tych dwu osób zespół z Nieledewu ma wyjechać w ramach wymiany przygranicznej do ZSRK. Wyjazd ten niewątpliwie jeszcze bardziej skonsoliduje zespół i zdopinguje jego członków do wysiłku. Przed wyjazdem za granicę pomocy fachowej będzie udzielała zespołowi Wanda Kanorowa. W Nieledewu nie tylko praca zespołu zasługuje na uwagę, ale i otoczenie zakładu świadczy o dbałości o estetykę zewnętrzną i kulturę pracy. Przed dwoma laty dostać się do zakładu, zwłaszcza w czasie jesieni i na wiosnę, było prawie niemożliwością. Błoto i zwalony ziemi porzucony po wykopach zawały większość placu. Na tym miejscu zielenią się teraz bardzo starannie utrzymane trawniki. Nad niedawno adaptowanym na świetlicę budynkiem widnieje maszt anteny telewizyjnej. Bardzo nowoczesnie i gustownie odmalowane wnętrza świetlicy jak najlepiej świadczą o gospodarstwach. Uderza tu czystość i porządek. Sala na 400 miejsc może z powodzeniem gościć dobre zespoły artystyczne odwiedzające nasze województwo. Dyrekcja zakładu robi obecnie starania, by teatr Osterwy mógł tu występować ze wszystkimi sztukami przeznaczonymi do objazdu. W tym celu planuje się nawet przebudowanie sceny. Te wszystkie niestety drobne zmiany świadczą o **o procesie głębokich przemian, jakie dokonują się na prowincji. Przemiany te nie zawsze jeszcze potrafimy dostrzec. Oczywiście proces przemian jest jeszcze bardzo powolny, ale dokonuje się zupełnie samorzutnie bez żadnych administracyjnych bodźców. Zależy on w dużej mierze od kultury i inicjatywy jednostek rozumiejących perspektywy rozwoju przemian kulturalnych i społecznych naszego społeczeństwa. Nieledew dzisiaj jest jeszcze środowiskiem nietypowym, ale za kilka lat takich środowisk na pewno będzie więcej.**

Chyba nadchodzi czas, że będziemy musieli zmienić obraz prowincji ukazany w czarnych reportażach i opowiadaniach typu Hłaski.

W TEREBINIE (POWIAT HRUBIESZOWSKI) pracuje pod kierownictwem Janu Bzdry zespół orkiestry dętej. Skupia on kilka osób starszych, większość natomiast stanowi młodzież, dla której zespół jest bardzo potrzebny. Istnieje tu wprawdzie świetlica, ale oprócz prób orkiestry nie się w niej nie dzieje. Zespół muzyczny ma szansę wpłynąć na ożywienie życia kulturalnego w Terebinii. Pracę ze środowiskiem powinni zająć się również i nauczyciele. Trzeba dodać, że została wybudowana tu ostatnio nowa szkoła.

WOJŚLAWICE (POWIAT CHELMSKI) cieszą się z osiągnięć i pracy dziecięcego zespołu składającego się z chóru i orkiestry. Zespół ten pracuje od kilku lat i może poszczycić się wyróżnieniami i nagrodami zdobytymi na powiatowych i wojewódzkich eliminacjach. Członkami jego są dzieci ze szkoły podstawowej oraz ze szkoły przysposobienia rolniczego. Obecnie kierownikiem zespołu Kazimierz Kudyba ma wiele kłopotu, bo dużo uczniów kończy szkoły i najprawdopodobniej odeszły z zespołu. Trzeba więc będzie w przyszłym roku rozpocząć pracę niemal od początku.

12 KM OD LUBLINA leży wieś Kiełnica Jara. Bliskość ta odbija się bardzo na życiu wsi. Młodzież ciąży do miasta, lecz cłażenie to nie jest typowe. Korzysta się tu nie tylko z powierzchniowego oddziaływania miast do głębszych wartości. Utrzymuje się stałe kontakty z TWP, czego wynikiem jest Uniwersytet Powszechny skupiający około 40 stałych członków. Oprócz wykładów z wiedzy ogólnej wyświetlane są tu trzy razy w tygodniu filmy oświatowe. Utrzymywane są również kontakty z Wojewódzką Poradnią Kulturalno-Oświatową. Młodzież, mimo że więcej czasu spędza w Lublinie, nie zapomina o swoim wiejskim środowisku. Skupiona w Związku Młodzieży Węskkiej i Ochotniczej Straży Pożarnej współpracuje ze sobą. Wynikiem tej współpracy jest zespół teatralny istniejący już przeszło trzy lata. Ostatnio zespół ten przygotował kilka wieczorów poetyckich, m. in. wieczór poświęcony Polskemu Wojsku, wieczór Mickiewicza, wieczór Stowackiego. Oprócz tego wystawiono sztukę J. Korzeniowskiego „Karpaccy górale”. Sztukę przygotowywano dosyć długo, ale też pokazano przedstawienie zrobione kulturalnie. Największą zasługę w pracy ze środowiskiem należy przyznać nauczycielce Anieli Filipowicz oraz jej współpracownikom: Edwardowi Bielakowi, Czesławowi Medykowskiemu i Mieczysławowi Błaskowi.

ZJAZD KAPELMISTRZÓW. W dniu 23 maja obradował na Zamku zjazd kapelmistrzów i dyrygentów orkiestr, zorganizowany przez lubelską delegaturę Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych. Celem narady było utworzenie Klubu dyrygentów oraz omówienie bolączek i trudności w pracy kierowników orkiestr.

Obszerne dyskusja uświadomiła potrzebę spotykania się, wymiany doświadczeń, a także wzajemnej pomocy w poszukiwaniu repertuaru. Przedstawiciel z Warszawy skrupulatnie notował decyzeraty i wolał o lepsze zapamiętanie w sprzęt i repertuar. Miejsmy nadzieję, że nie były to głosy wlotające na puszczy. Wybrany tymczasowy komitet Klubu zajmie się programem najbliższych spotkań.

PAUL FORT

(1872 — 1960)

Z „Ballad gór Iodowców i źródeł“

Wzgórze lesiste do rzeki przylgnęło i odnowiło się
w wodzie łagodnej; ciemny pas nurtu kolebie drzew
zieleni, głębie obłoków — pasmo drugie, modre.

Tu płynie łódź po odbiciu perłowym, a obok tratwa
splciona z gałęzi... Nagle, w mych oczach, wir wściekły
zapory miesza łódź z tratwą w drgającym odmęcie.

Kształty marzenia, oto klęski pora! Tratwę i żagiel,
sny ciemne, błękitne, gdy portem — fala, rozbija
zapora, by falą wzięte w śmierci zanikły.

Przylgnęło do rzeki lesiste wzgórze. Na tamtym
brzegu chwileją się kaczeńce. W niebie pochmurnym
białe błyski burzy... Ach, wiele jeszcze umrze w nie-
pamięci!

(Góra)

Przełożyła Maria Bechczyc-Rudnicka

Ballada wiejska

Zmarło się dziewczynie, zmarło się z kochania.

Złożyli ją w ziemi, w ziemi o świtanu.

Położyli samą, samą położyli

na łożu trumiennym, w trumiennym przybraniu.

Wrócili się bez niej, bez niej się wrócili.

Śpiewali wesolo: „Dzisiaj kolej na nią.

Zmarło się dziewczynie, zmarło się z kochania“...

I w połu jak co dnia, jak co dnia robili.

(Ballady francuskie)

Przełożyła Maria Bechczyc-Rudnicka

JULES SUPERVIELLE

(1884 — 1960)

Pełne morze

Między ptakami, między księżycami,
co przebywają w głębokościach morza
i które tylko odgadywać można
po wścieklej pianie, co powierzchnię płami.

między tym ślepym oceanu znakiem
i dawnym szlakiem podwodnym okrętu
a ryb bezmyślnych tłumem wielorakim,
które kierują tędy dróg swych skręty, —

topielec szuka piosnki, którą składał
w dni swych młodzieńczych lotów i zapalów,
słucha na próżno małży i ukwiałów
i z nimi w głębie ciemności zapada.

Uchwycić

Uchwycić wieczór, jabłko, z marmuru boginię,
uchwycić cień i ścianę i ulicy linię.

Uchwycić kształt kobiety leżącej w hamaku.
Potem ręce rozewrzeć. Ileż leci ptaków!

Ileż ptaków znów staje się ulicy linią,
cieniem, ścianą, wieczorem, jabłkiem i boginią!

Przełożył K. A. Jaworski

BORYS PASTERNAK

(1890 — 1960)

Mein Liebchen was willst du noch mehr?

Zegar już wskazówki zgubił
i godzina jak karaluch.
Po co tłuc talerze, luba,
ciskać szklanki, grzmieć na alarm?

Naszej willi się p. zydarczyć
może coś gorszego jednak.
Szcześnie, na nie nikt nie zważa!
Grom nie huknął — co się żegnać!

Może trzasnąć nagle piorun
i wybuchnie mokra budka.
Lub szczenięta ci zabiorą,
deszcz przebijie skrzydła śrutkiem.

Las wciąż dla nas przedpokojem,
piec — księżycą żar za jodłą,
jak wyprany fartuch — w znoju
chmura schnie belkocząc modły.

Kiedy zaś do studni wali
wicher tęsknoty, mimochodem
gospodarstwo burza chwali,
o cóż tobie jeszcze chodzi?

Rok na nacie cały zgorzał
cma uległa lampy wdziękom,
oto szarosiń zorza
wstał on senny, wstał zmoknięty.

Jak przez dziurkę patrzy w okno,
stary, straszny swym współczuciem,
przezeń jest poduszka mokra,
każdy jego szloch w niej ucichł.

Nie pocieszysz starca za nie
ty, coś żartów nie znał wcale.
Czymże lata w zaniedbanu
uspokoisz zgluchłe żale?

Las w ołowiu pasmach liczących,
siwy jak posepny łopuch.
On we łzach, a tyś prześlizgniesz,
jak dzień cała, jak niepokój!

Czemu płacze, stary dureń?
Widział większe szczęście przy kimś?
I czy na wsi w deszcz, w wichurę
gasną słońca — słoneczniki?

Przełożył K. A. Jaworski

Saint John Perse

WOJCIECH NATANSON

wiąjących zjawisk francuskiej — i nie tylko francuskiej — literatury. Jest chyba jedynym w literaturze wypadkiem, aby dla realizacji jednej, jednorazowej wizji poetyckiej powołano odrębny język. Fragmenty „Anabase” i „Deszczów” Saint John Perse’a w przekładzie Zbigniewa Bielińskiego, zaprezentował ów francuski numer „Twórczości”. Mimo to jest u nas Saint John Perse równie mało znany, jak inny wielki jego rodak z tej samej generacji, zapoznany zresztą i we własnej ojczyźnie, a odkryty na nowo przez Bronisława Durocher-Kamińskiego — Pierre Albert Birot. Warto więc może choć pokrótce przypomnieć sylwetkę laureata zeszłorocznej francuskiej nagrody literackiej i elekta wielkiego międzynarodowego sejmku poetów.

Alexis Saint Léger — Léger urodził się 31 maja 1887 roku w Guadelupie, na Antylach, gdzie ojciec jego był adwokatem i dokąd przybył w XVII wieku jego przodkowie. Mimo dwóch stuleci przebywania na emigracji, rodzina Légerów zachowała język i narodową świadomość francuską. Przyszły poeta odbywał studia we Francji, ukończył liceum w Pau, a wydział prawa Uniwersytetu w Bordeaux. W pamięci jego pozostał krajobraz wysepki, na której się urodził i spędził dzieciństwo. W 1904 roku pisze Léger pierwszy swój zbiór poezji, pod pięknym tytułem: „Obrazy dla Robinsona Crusoe”. Odkrywał tu 17-letni poeta — bogactwo i piękno, tajemnice i ból, dobro i zło świata:

Bukiety ogrodu pachniały cmentarzem rodzinnym.
Umarła mała siostrzyczka, miałem przed sobą
Jej alabastrową trumnę, piękną pachnącą
Między lustrami trzech izb. Nie wolno było
Zabijać ptaka — muchy kamieniem...

Francis Jammes, Alain Fournier oraz Valéry Larbaud — pierwsi poznali się na wartościach poezji Saint John Perse’a. Wspólnie wtedy studiują (w tajemnicy przed profesorami!) — Heraklita, przedsokratowską filozofię ateńską i abstrakcyjną szkołę aleksandryjską. Dzięki nim wydaje Alexis Léger w 1911 roku tom poezji pt. „Éloges” („Pochwały”).

W 1914 r. wstępuje Léger do francuskiej służby dyplomatycznej. Dwa lata później, w gorącym momencie pierwszej wojny światowej, zostaje sekretarzem ambasady w Pekinie. Urlopy i wakacje zużywa na poznawanie Azji, szczególnie pustyni Gobi. Przyjaciele nazywają go żartobliwie „specjalistą pustkoci”. Pierwszy wielki zbiór wierszy Saint John Perse’a opublikowany po powrocie do Europy, w 1924 r. „Anabase” będzie pośrednim echem owoch pustynnych doświadczeń. Świadczy o tym poemat „Te żółte ziemie”, należący do wspomnianego zbioru:

Nie zawsze będziemy zamieszkiwali te żółte ziemie,
miejsca dające nam rozkosz.

Lato potężniejsze od mocarstwa zawiesiło tu ponad
stołami przestrzeni kilka pióter kłmatów. Rozległa
ziemia obraca wielkimi kotami swe blade palenisko
na popiołach. Barwa siarki i miodu to kolor rzeczy
nieśmiertelnych — i oto cała ziemia zapala się od
stomek drugiej zimy, a zielona gąbka jedynego drzewa
wyciska swój fioletowy sok“.

Niektórzy czytelnicy dopatrywali się już w samym tytule tomu „Anabase” aluzji do znanego dzieła Ksenofonta. Lecz zdaniem współczesnej krytyki francuskiej (np. Alain Bousquet w „Nouvelles Littéraires”) Saint John Perse chciał „usunąć wszystko, co mogło w czasie i w przestrzeni ograniczyć jego poemat epiczny”. Pragnął bowiem stworzyć „wydarzenia idealne” i „fakty autonomiczne”, obywatelstwo bez konkretnych realiów, a jednak ściśle sprecyzowane, jak by były wydarzeniami realnymi. Można tu było znaleźć zarówno aluzje do Aleksandra Wielkiego, Dżyngis Chana, jak i Mojżesza, Hannibala, Corteza czy Napoleona. Poeta „zaludniał pustynie upostaciowanymi bohaterami i terenami akcji, odbierając im równocześnie wszelkie sprecyzowane dane chronologiczne, wszelkie „stopy kilometrowe”, wszelkie „drogowskazy”:

Wielkie spokojne linie zacierają ku
błękitom nieprawdopodobnych winnic.
Ziemia w niejednym punkcie dojrzewa
i owe dymy piasku wznoszą się zamiast
umarłych rzek
niby cząstki wędrujących stuleci...

„Anabase” jest pierwszym dziełem, które A. Léger wydaje pod pseudonimem Saint John Perse’a. Poeta o tak wspaniałej wyobraźni, zarazem wizualnej i abstrakcyjnej, jest oszczędny wobec samego siebie, nieufny i pełen wewnętrznych oporów. Na razie poświęca się przede wszystkim działalności dyplomatycznej. „Podobno flirtuje pan z Muzami!”, odezwał się doń drwiąco pewnego dnia suchy i twardy polityk konserwatywny, surowy „obrońca franka”, Raymond Poincaré. Więcej sympatii okazał Légerowi „złotousty” radykał i pacyfista, Arystydes Briand, który poznał młodego sekretarza ambasady francuskiej w Pekinie w 1921 r., jako eksperta spraw Dalekiego Wschodu. Gdy doszedł do władzy w 1926 r. powołał Briand autora „Anabase” na dyrektora gabinetu w ministerstwie spraw zagranicznych. Wkrótce potem został Saint John Perse następcą szarej eminencji francuskiej dyplomacji, Filipa Bertholet, fachowca i erudyty, uwiecznionego przez Giraudoux w powieści „Bella” i w „Wojny trojańskiej nie będzie”. Będąc w ciągu 7 lat, to jest do czerwca 1940 r. sekretarzem generalnym francuskiego Quai d’Orsay, nie mógł już czy nie chciał poeta ogłaszać żadnych poezji, nawet pod pseudonimem. Być może, że uważał działalność poetycką za szkodliwą z punktu widzenia prestiżu administracji i dyplomacji francuskiej. Albo też, odwrotnie, uważał że jego stanowisko dyplomatyczne

(Dokończenie na str. 6)

Z NIEZWYKŁYM pośpiechem, nazajutrz po wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Paryża, 18 czerwca 1940 r., gestapo wdarło się do mieszkania niecałkiem na szczęście wielkiego poety francuskiego, Saint John Perse’a. Przeprowadzono dokładną rewizję. Nie znaleziono nic, oprócz siedmiu zeszytów zapelnionych świętą poezją. Oficer komenderujący tym polnym patrolem kazał spalić wszystko, nie zostawiając ani linijki z wieloletniego dorobku jednego z największych poetów współczesnych. Marie René Alexis Léger, piszący pod pseudonimem Saint John Perse’a, był nie tylko poetą, ale i wysokim urzędnikiem francuskiego Quai d’Orsay. Prześladowania hitlerowskie godziły więc nie tylko w poetę, ale i w męża stanu. Niemniej usłużny rząd kolaborantów z Vichy, na wiadomość o rewizji przeprowadzonej w mieszkaniu Saint John Perse’a, pozabawia go obywatelstwa, konfiskuje jego majątek, odbiera mu Legię Honorową. Oba te akty — gestapowska rewizja i decyzja Laval’a — były mimowolnym nożem dla wielkiego francuskiego poety.

W USA powierzono mu wtedy stanowisko bibliotekarza, u boku przyjaciela, poety Archibalda Mac Leisha. Rzecz prosta, że natychmiast po wyzwoleniu, w pełni przywrócono Saint John Perse’owi wszystkie jego godności. W 1954 r. jury francuskiej nagrody państwowej, do którego należeli m. in. Mauriac i Duhamel, przyznało twórcy poematu „Anabase” Grand Prix National, najwyższe francuskie odznaczenie państwowe. Równocześnie międzynarodowy zjazd poetów w Belgii, który zgromadził 170 liryków z wielu krajów (m. in. i Polaki), wybrał Saint John Perse’a na tegoroczego swego laureata. Mówiono nawet o przyznaniu Perse’owi nagrody Nobla; gorącym zwolennikiem tej myśli był generalny sekretarz ONZ, który jest równocześnie członkiem Akademii Szwedzkiej. Za kandydaturą Perse’a jednomyślnie wypowiedział się Penclub szwedzki. „Saint John Perse” — pisał Pierre Emmanuel w 1956 roku „przeżywa dzieje ludzkości w skali tysiącleci: wykreśla ludziom wielkie szlaki wszechświata, mocarstwowe ambicje, klęski... Współczesny zarówno Homerowi, jak Eklezjaście, Saint John Perse ukazuje przepych mocarstw i ceremoniał podbojów na tle egzotycznej przyrody — tu bujnej roślinności, ówdzie pustyni i oceanu. Jego fraza poetycka jest na miarę jego wyobraźni: rozległa, uroczyista, hieratyczna, lubująca się w powtórzeniach na wzór wielkich rytmów natury, podobna do monotonna szumu fal”. „Saint John Perse” — do monotonnego szumu fal”. „Saint John Perse” — pisano w nocie biograficznej francuskiego numeru „Twórczości” z 1956 r. „to jedno z najbardziej zadzi-

W KRĘGU AUTENTYZMU

ALINA
ALEKSANDROWICZ

Gdyby teksty te znajdowały się w podręczniku historii czy rozprawie o charakterze socjologicznym, budziłyby na pewno sprzeciw wielu czytelników. Mogłyby się wydawać nierzeczywiste, umiejętnie wyselekcjonowane lub też celowo skomponowane. W atmosferze archiwalnych materiałów nie odczuwamy tego rodzaju wątpliwości. Pomięte, czasami zbitwiałe kartki, zapisane niezgrabnymi, rojącej się od błędów gramatycznych i ortograficznych prośbami. Niezdarne kulfony „memoriałów i suplik”, przedkładanych przez chłopów, wyrobników, dawnych służebnych zatrudnionych w dworze księstwa Czartoryskich. To jest właśnie urok „autentyku”.

Kodeks dochowawczy „suplik” nosi skromny tytuł „Prośby od różnych osób do księcia generała Czartoryskiego” i przechowywany jest w Domowym Archiwum księstwa. Ukazuje drugą stronę mecenatu i życia puławskiego dworu. Obok grona poetów, uczonych, artystów, którzy wiedli mniej lub bardziej przyjemny żywot u boku uczonego księcia i jego małżonki — Izabelli z Flemingów, istnieli również poddani, wyrobnicy oraz liczne grono ludzi zatrudnionych w pałacu, ludzie, o których przy historii puławskiego dworu mówi się i rzadziej i mniej. Losy ich mimo opieki litościwej księżnej i Adama Kazimierza Czartoryskiego, który słynął z „dobroci serca” i względów okazujących poddanym, kształtowały się często tragicznie.

Kodeks zawiera wiele próśb i ukazuje w lapidarnym skrócie sylwetki wielu osób. Oto Marianna z Swiderska z Końskowoli, miejscowości uwiecznionej pobytom Franciszka Zabłockiego. List pisany 11 marca 1810 roku. Zanim Swiderska przystąpi do próśb o wsparcie, opíše długą historię swojego życia. „Mąż będąc mularzem zawsze robi w skarbie JOXPana Dobrodzieja. Obciął sobie nogę w roku przeszłym przy pałacu JOXP Dobrodzieja. I chorował i kaliką chodził przez kwartał...” „Potem niewiadomo skąd Bóg spuścił na nas chorobę... żem ja chorowała i z dziećmi przez niedzielę sześć... Zadłużyliśmy się na wikt i na różne rzeczy”. Obecnie spotkało ją nowe nieszczęście. Mąż pomagał przy bieleniu pałacu w Puławach. „Poszedł i mój mąż i przetrącała mu tarcica nogę, wzięty jest do lazaretu”. Memorial kończy się prośbą:

„Ja biedna sierota zostająca z dwójki dziećmi nie mogąc sobie rady dać i w długach zostająca, żebrze litościwych względów JOXP Dobrodzieja”.

U dołu podania widnieje wzmianka osoby odpowiedzialnej za sprawę gospodarcze księstwa, aby prośbę skierować do ekonomy celem sprawdzenia przekazanych danych.

Oto drugi wstrząsający dokument List Rozalii Łosiowej, pisany w roku 1810 z błaganiem, „aby książę raczył dla nas dać sposób życia”. Losy tej kobiety wyglądają podobnie. Mąż pracował w dobrach księcia jako „strażnik puszczy”. Później oddalono go ze służby nie zapewniając żadnych środków do życia. Prośbę o dostarczenie mu jakiegokolwiek możliwości zarobkowania złożył już dawniej. Wówczas książę ustosunkował się do niej pozytywnie, ale „Wielki Komisarz nie dopełnił”. Obecnie mija już lat sześć, „jak na bruku został” i „z ostatniego grosza żyjemy”. Nie mogą już nawet liczyć na dorywcze zarobki, ponieważ „mąż śmiertelnie zachorował”. Żona zwraca się kornie do Czartoryskiego: „przezo z krwawymi łzami czołem bijąc u nóg Dostojnych błagam i żebrze miłosierdzia...”

A oto listy służby, zwalnianej często nie ze względu na złe sprawowanie obowiązków, ale po prostu dlatego, że w wielkim dworze człowiek gubił się wśród wielkiego rozmachu życia. Piše Marcin Borkowski — dozorca. Pracował 37 lat w domu księstwa. W roku 1813 został zwolniony, ponieważ „wina w lochu nie stało”, a on

był zatrudniony przy dozowaniu tej właśnie piwnicy, oraz dlatego, że „folwarki klucza włodawskiego wszystkie w posesję poszły”. Marcin Borkowski nie prosi o wsparcie, chociaż, jak piše, „w stanie obecnym wypada mi zostać bez środków do życia”. Chciałby natomiast otrzymać pracę. „Zarazem żądam względów Waszej Księżęcej Mości, że mnie, dawnego sługę w obowiązku jakowym rozkażesz umieścić”. Wymagania Johanna Grabińskiego nie są również wygórowane:

„Ja niżej podpisana wdowa z sierotami pozostała bez sposobu do życia gdyż na trzyletnią chorobę męża mego ociemniałem wielem się zadłużyła przed śmiercią jego... — żebrze przeto Najlaskawszej litości WKMości i Dobrodzieja Najmiłosierniejszego o wsparcie mię na żywności, gdyż będąc codziennym kwaternikiem uciśniona do ostatniego na żywienie żołnirzy wyciągnęłam się, iż teraz nie mam sposobu pozostałych dwóch sierot i siebie wyżywić. Dopraszam się też jak najpokorniej WKMości o asygnację na żerdzi, koly do ogrodzenia płotu od ulicy — przez wojskowych zdezelowanych i na opał drzewa. W tym wszystkim niegodna podnóżka z biednymi sierotami błagam Nieograniczonego Miłosierdzia Waszej Księżęcej Mości i Najlaskawszego Dobrodzieja. A za osiągnięte dobrodziejstwa codziennymi modłami do Boga wywdzięczać się będziemy”.

W podobnej tonacji utrzymane są listy Karoliny Choynakowskiej, wdowy, której mąż służył „lat kilkanaście” u księżnej pani. Po śmierci zostawił żonę bez środków do życia. Utrzymuje się wprawdzie „z pracy rąk”, ale potrzeb zaspokoić nie może. Podobnie Jurko Kozak piše, że „leży złożony chorobą całym domem”. Jako „wierny poddany” prosi o wsparcie. Listy świadczą często o skrajnej nędzy petenta. Marianna Zebrydowska zwraca się z supliką o „wsparcie grosza na okrycie”. „Czas zimowy nadchodzi, a ja nie mam nikąd nie zarobić... „dłużna jestem za płótna dwa czerwone, nie mam skąd oddać”. Uprasza Księcia Pana, aby podarował jej „dwa sążnie drzew na opał zimowy, za które względę modły do Boga wznosić będę”. Mikołaj Wojciechowski, wyrobnik z Włostowie, w słowach uniżonych i rozpaczliwych, błaga o podwyższenie go z nędzy i „upadku”. Zaznacza, że pracował u księcia lat dwadzieścia. Obecnie nie ma już sił do pracy i środków do życia. Prosi o trochę żywności. Franciszek Domański. Również wyrobnik. Chory. Nie może zapracować nawet na utrzymanie. „Włosy, teraz wzgardzony, prosi o możliwość jakiejś pomocy”.

Listy są do siebie podobne. Można byłoby je cytować w nieskończoność, ponieważ dużo było nędzy i biedy we wsiach włostowickich, końskowolskich i innych. Oto „suplika” Wawrzynca Przeglalińskiego.

„Zlituj się Wasza Księżęca Mość nad biednym. Chciej mnie wesprzeć, laską swą przetrzymać mi jaką ćwierć zboża do życia z żoną i dziećmi memi, nim znajdę służbę dla siebie”.

Listy te, o wymowie równej społecznym i historycznym dokumentom, przemawiają nie tylko zawartym w nich opisem nędzy. Korna, błagalna forma, w której człowiek upomina się u drugiego o podstawowe prawa do życia, ukazuje wymownie problemy związane

z nędzą i uciskiem wsi. Znamienny jest następujący fakt. Ponieważ Puławy słynęły jako ośrodek literacki i artystyczny, a książę i jego żona znani byli z poetyckich upodobań, petenci starają się często formułować swoje próśby na wzór wierszy, licząc, że taka wypowiedź spotka się z większą przychylnością. A. Szczawiński donosi, że już od dłuższego czasu poszukuje pracy. Prosi o wsparcie „do dalszej podróży w szukaniu dla siebie losu szczęśliwego”.

*Słodką o Boże mam w Tobie
nadzieję
Iż Księżciu Panu ręka się nie
schwieje.
Wyciągnie, poda i wesprze biednego
Piastujesz Go Panie tylko dla
tego.*

Maciej Sykut ze wsi Woronowce, „prawdziwie poddany z dziada pradziada mojego”, „stary, bidny i spracowany”, a do tego „kalika na oczy”. Stracił zdrowie u księstwa, żebrze o odzież na zimę:

*Uczyń JOW Panie Miłosierny,
wygląd
Na ciężkie ubóstwo moje, gdy
Słaby, głodny i nagi a sam
Bóg będzie stokrotnie nagrodny”.*

Prośba Sykuta nie została prawdopodobnie szybko rozpatrzone, ponieważ odnajdujemy i jego drugi list dotyczący tej samej sprawy. Petent podaje dokładniej swoje warunki. Oto przez lat 50 pracował na roli, „czyniąc zawsze zadość Skarbowi Pańskiemu w pańszczyznach i w czynszach i wiele mocy człowiek utracił robiąc zawsze piłą”. Obecnie ziemię zostawił zziębłowi, ponieważ przy niej pracować już nie może. Sam znalazł zatrudnienie w kuchni puławskiej, „czyniąc ile mogą usługi, abym mógł się pożywić”. „Chodząc koło ognia tędym sobie sukmaninę nadpalili, a bidny jestem bez odzieży, bo na niego nie zarobię... więc prawie w tej ostatniej nagoci żebrze miłosierdzia i litości nade mną”.

Podobnie wyglądają i listy innych osób: Marcina Szermę z Wielkiej Wsi, który prosi o „danie mi sposobu, abym spokojnie mógł dokończyć wieku”, Józefa Rogozowskiego, Marianny Pejzakowicz, Antoniny z Łętowskich Zakrzewskiej, Bazylego Kulczyckiego, Wojciecha Sadowskiego i innych.

W kodeksie znajdują się i pisma o odmiennym charakterze, pisma dziękczynne i sławiące „laskawość Jaśnie Oświeconego Pana”. Podziękowania ślą również księciu „dozgonni bogomolcy” — żebracy przy kościele włostowickim, wychwalając Czartoryskiego za otrzymane wsparcie w postaci odzieży.

Poza poddanymi i wyrobnikami do Czartoryskiego zwracają się i inni ludzie — handlarze, żołnierze, kupcy. Na przykład Lewek Jaskowicz — „medicus z Opatowa”, piše w roku 1810, że na skutek zaangażowania się w działalności wojennych i „ratowania ranionych i zachorujących obrońców ojczyzny” nie był w stanie sprowadzić do kraju zakupionego w Węgrzech wina, którego handlem zwykle się trudnił. Prosi księcia o „laskę” i pomoc przy załatwieniu tej transakcji. Mikołaj Zembrzowski, powołując się na dobre spełnienie obowiązków „w państwie Terespolu”, zabiega o udzielenie mu i „jakowej skarbowej funkcji” w tymże „mieście wolnym Terespolu, gdy handel wzrost

swoj bracie będzie”. Daniel Kerner pertraktuje z księciem o przyjęcie syna na dwór „powierzenie mu pracy przy kancelarii”, „lub w innej jakiej służbie”.

Najbardziej jednak wymowne i sugestywne są liczne listy poddanych, służby i wyrobników. Chociaż generał ziem podolskich i jego żona uchodzili za ludzi „miłosiernych” i nie pomijających próśb milczeniem, memoriały te w zestawieniu z licznymi balami, imprezami, biesiadami, z których słynęły dwory możnych polskich, ukazują ponurą, lecz istotną stronę protektoratu. Czartoryscy wśród grona możnych i udziałnych księży zdobyli opinię najbardziej ludzkich w stosunku do włościan i podopiecznej służby. Niemniej kontrasty istniały, a przedział pomiędzy wsią a dworem ukształtowany układem stosunków społecznych ówczesnego ustroju był często bardzo wymowny i rażący. I to jest właśnie w wieku osiemnastym i na początku dziewiętnastego znamienne zaplecze nawet najbardziej efektownego w skutkach naukowego i kulturalnego mecenatu.

SERCA za drutem

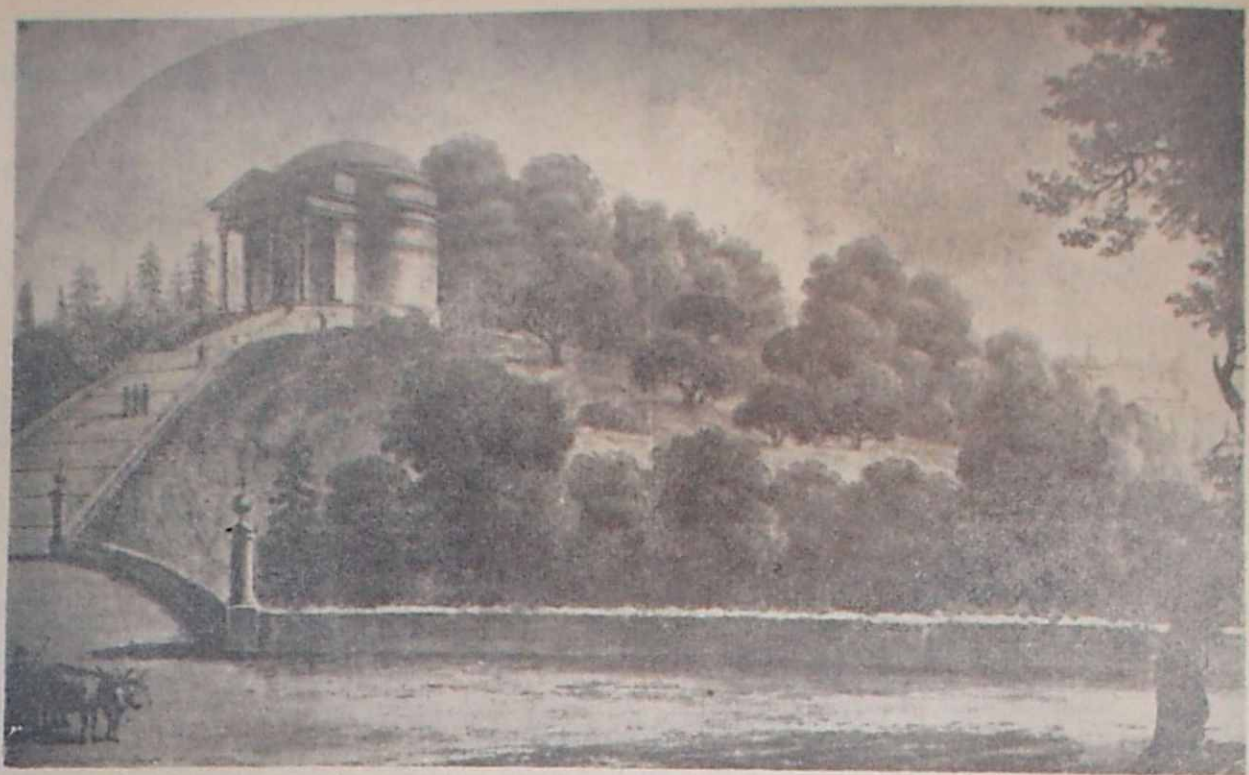
STEFANIA
PODHORSKA - OKOŁÓW

Wszystko można przetrwać.
Najważniejsza rzecz to postawa wewnętrzna. („Serca za drutem”).

Od ukończenia wojny ukazało się już tyle mniej lub więcej udanych wspomnień obozowych, że z mimowolną nieufnością bierzemy do ręki niewielką książeczkę Jaworskiego. Ale zaufanie budzi się po kilkunastu kartkach i nie opuszcza nas do końca książki.

Sprawozdanie z więzienia w Lublinie, z podróży do Sachsenhausen i z pierwszych tygodni pobytu w obozie, tak zwanej „kwarantanny” ma dokładność i beznamiętność protokołu. Potem dopiero demaskuje się istotne oblicze książki, usprawiedliwiającej jej tytuł: „Serca za drutem”. Serce! to ono właśnie decyduje o jej kolorycie i odrębności. Im bardziej zagłębiali się w przeżycia więźniów, opowiezdiane w sposób prosty, bezpretensjonalny, pozbawiony zarówno lubowania się w naturalizmie, jak zbędnego patosu (fakty dostatecznie mówią same za siebie), tym mocniej utrwała się w nas przekonanie, że opisał je człowiek dobry i zrównoważony.

Dobry dobrocią płynącą z wiary w ludzką naturę, która pod złośliwym okrucieństwem, bezczelności, barbarzyństwa zdolna jest przechować złota szlachetnych odruchów. Zrównoważony — bo umiejący w najokropniejszych warunkach utrzymać ten stan umysłu, który pozwala na bezstronna, czujną obserwację, kierowaną przez nienasyconą „ciekawość człowieka”.



Puławy — „Panteon” (Aktuarela)
Niemzany malarz pocz. XIX w.

wlających najdrobniejsze szczegóły katastrofy i jej skutki.

Minęło lat kilka. Skonstatowano ogólne polepszenie się stosunków i stanowcze przychylenie się umysłów ku optymizmowi. Jedyne wiechy przemysłowcy i bankierzy byli niezadowoleni, wskutek niemożności prowadzenia rozległych transakcji. Militaryści również spoglądali smutno na imperialistów, wspominając te dobre czasy, gdy można było zbroić się do nowych wypraw i myśleć o zagarnięciu cudzych ziem. Odkąd wydłubiona ziemia stała otworem dla ekspansji angielskiej, świat stracił dla pewnych sfer cały swój urok.

W piątym roku po katastrofie uderzono nagle ze wszech stron na alarm. Nowa, nieznaną dotąd, teoria ścisła serca ludzkie mroźnymi, kościstymi palcami. Zauważono bowiem, że od owej katastrofy nie urzdziło się w całym tym olbrzymim mieście ani jedno dziecko. Kobiety, które zaszyły były w ciążę jeszcze przed „koncem świata” (jak powszechnie mówiono), powiły dzieci nieżywe. Od tego czasu ani jedna kobieta nie poczuła się w stanie odmiennym. Lekarze i fizjologowie nie umieli sobie wyjaśnić tego zjawiska. Intensywnie prowadzone badania nie przyniosły nic konkretnego. Uczni wyrażali jedynie domysł, że jakieś związki gazów uczyniły kobiety bezpłodnymi. Młode małżeństwa angielskie były niepokieszone, a nawet pisma humorystyczne straciły ochotę do drwin z tego powodu. Wszelkie środki, zalecane przez najslawniejszych lekarzy, nie wydawały najmniejszego rezultatu. I było to tym dziwniejsze, że świat zwierzęcy mnożył się zupełnie normalnie, a nawet jak by obficie niż zwykle. Po kilku jeszcze bezpłodnych latach wszyscy zrozumieli straszną demoniczną, szaleńczą prawdę — miasto wyratowane jak by cudem spośród kataklizmu ziemskiego skazane było na śmierć powolną i okrutną zarazem.

Kiedy to się stało jasne, nie myślano o tym więcej. Życie nagle straciło wartość, a jednocześnie „ostatnie dni” stały się szczególnie cenne. Rzucono się w wir życia i widziano najpoważniejszych obywateli w gronie dzweczcząt wyuzdanych. Wino lało się strumieniami z lordowskich piwnic, nikt nie zważał na godność i stan. W powszechnej bachanalii uczeni opuścili swe czaszeczki biblioteki i uwleńczywszy lysziny kwiatami przechodzili ulicami jak Syleni. Widziano ludzi, którzy po bułazeczce spędzonej nocy rzucali się do morza. Samobójstwo stało się zjawiskiem powszechnym i nikt się tym nie gorszył, a prawo nie opiekowało się życiem ludzi, którzy czuli, że są ostatni.

Znalazło się jednak wielu cierpliwych, którzy postanowili wytrwać do końca. Oddawali się swoim zwyczajnym zajęciom, troszczyli się o swój byt i załatwiali wszystkie swe sprawy tak, jak by pracowali dla nieograniczonej przyszłości. Niektórzy nawet zapominali o losie ciążącym nad miastem.

Ostatni dzień ślepego Toma

niczonej przyszłości. Niektórzy nawet zapominali o losie ciążącym nad miastem.

Tymczasem z każdym dniem, miesiącem, rokiem liczba ludzi malała. Już całe dzielnice Londynu stały puste. Biedacy przenosili się ze swoich suterren do pałaców bogaczy, którzy wymarli, i z kolei oni sami opróżniali mieszkania, których nikt już nie miał zajmować. Po domach leżały tysiące zwłok, których się nikomu nie chciało uprzątać, chyba czasem sąsiedzi, nie mogąc znieść smrodu, wyrzucali łopatami umrzęków bez imienia i rodziny.

W błady poranek biedny dziadzius Tom, „ślepy Tom”, jak go nazywano, wyszedł ze swej nory na White Chapel, w której żył od lat z górą dziewięćdziesięciu. Zacięwał ręce od chłodu rannego i szedł przed siebie nie spotykając nikogo na drodze. Nazywano go „ślepy”, chociaż widział dobrze na jedno oko. Brak ludzi na ulicach nie dziwił go wcale. Przywykł do tego od dość dawna. Cała White Chapel przeniosła się od kilku lat na Regent Street, do wspaniałych domów i pustych hoteli. On został, a nie opodal jego nory mieszkała jedna staruszka, z którą codziennie chodzili razem szukać czegoś do jedzenia. Dziś jednak znalazł ją na ulicy nieżywą, co napędziło go przemijającym smutkiem. Od tak dawna patrzył na nieublaganą kość śmierci, że żał po zmarłych nie zdołał opanować jego samotnego serca.

Szedł coraz raźniej, czując promienie słońca, dotykającego jak ciepłe palce masażysty, pod wpływem których plecy jego prostowały się i krzepły. Mijał co chwila domy, walące się w gruzy i opustoszałe fabryki, skąd zamiast łoskotu maszyn i nawoływania się robotników, dolatywało wycie i szczekanie psów. Zwierzęta te, po większej części zdziczałe, przyzwyczajone od dawna wyszukiwać sobie pożywienie, gdzie je znaleźć mogły, żywiące się trupami ludzkimi lub dogryzające konających, mogłyby się stać strasne dla ślepego Toma, gdyby mu nie były obojętne. Czasem jakiś pies wylatywał z sieni domu umarłego i przybiegał do żebraka, ale ten groził mu kijem i szedł dalej.

Sam się dziwił swojej rzeźkości. Jak by go skrzydła niosły, z taką zapomnianą lekkością mierzył przestrzeń olbrzymiego miasta. Zatrzymał się i usiadł, by odpocząć na kupce leżących belek. Było tu zacisznie i słodko. Głęboka zatoka morska wrzynała się w ląd na miejscu, gdzie przed katastrofą ziemską płynęła Tamiza. Niedługo

rzese ludzi przelewały się tędy. różnobarwne, różnojęzyczne, hałaśliwe, a wytrwale narzędzia pracy kierowane przedsiębiorcą dłońmi wielkich przemysłowców i kapitalistów. Było to bowiem doki londyńskie, źródło, istota, wyraz bogactw Anglii. Kanały, którymi pocięta jest cała ta przestrzeń, bramowane szeregami okrętów tworzyły z nieprzeliczonych lin, masztów i żagli tkaninę potwornego pająka, wysysającego złotą krew ze wszystkich krajów świata. Przez kłęby dymu słońce z trudem przesiewało swój deszcz złoisty, roztopiający się w brudnej wodzie rzek i kanałów. Wszystko zdawało się być pogwałcone w swoim rozwoju, wynaturzone, opanowane jakąś dziką rozpaczą i jeszcze większą gorączką zdobywania bogactw.

Ślepy Tom nie lubił tu chodzić. Teraz jednak wypoczywał naprawdę, odwróciwszy się od miejsca, gdzie wrony rozszanpywały resztki mięsa, trzymającego się przy szkielecie robotnika, który tu skonał przed tygodniem.

Jakaż cisza w tym ustroniu! Życie objęło w posiadanie gnijące doki, gdzie niedokończone okręty spadły ze swych rusztowań. Wzdłuż brzegów ciągnęły się trawniki haftowane kwiatami, a w jednym miejscu rozpięta się gruby rododendron, obsypany różowym kwieciem, nad którym brzęczała pszczoła. Czyste, nagrzane słońcem powietrze przesłania tylko w oddali subtelna gaza mgły, błękitniejszej na rąbkach.

Stary dziadzius poczuł głód i ruszył w dalszą drogę. Przez myśl mu nawet nie przeszło, że był jedynym panem tych wszystkich skarbów, gromadzonych tu przez wieki całe. Stały mu otworem najokazalsze pałace, których progu dawniej mu nie wolno było przestąpić i kościoły, kapiące od złota i galery, których cudów nigdy nie widziały jego oczy osłabione, i wszystkie składy i magazyny tak zasobne, że ich do ostatnich chwil wyczerpać nie można było.

Był panem wszystkiego, jedynym władcą i królem. Mógł oto pójść do opactwa Westminsterkiego i ubrać na swą trzęsącą się głowę prastarą koro-

nę królestwa i piasecz purpurowy i w złoto się przyodziać. Mógł zabrać z Towru, od wieków tam strzeżone, błyskotki królewskie, jarzące się od diamentów, zroszone krwawymi izarci Anny Boleyn i pięknej pani Grey, i nieszczęśliwej Marii Stuart. Miał tyle mieć nie mógł, a złoto leżące w banku czekało, aby je dotknął swymi stygnącymi palcami. W królestwie jego słońce nie zachodziło.

Ślepy Tom ani się tego domyślał. Przyjemnie mu było, że dym dawno wygasłych fabryk nie zasłania mu nieba, które było teraz jasne i pogodne. Ptaki ze śpiewem i świegotem przelatywały, siadając na wieżach gmachów, skąd niosły swą dźwięczną chwałę ciepłemu słońcu. Drzewa były zielone i rozkwitłe o wczesniej wiosnie.

Staruszek uczył głód i pochylił się bardziej ku ziemi. Zimno mu było pomimo słońca. Włókł się coraz wolniej, wreszcie wszedł do jakiegoś domu. Pustka owiała go swym stęchłym tchnieniem. Na schodach spłoszyła szczura, gryzającą dywan strzyżony. Piękne pokoje, malowane bogato i urządzone wystawnie. Z bocznego skrzydła dolatywała dusząca woń rozkładających się zwłok właściciela tego domu, który zmarł przed miesiącem. Dziadzius zamknął drzwi i wszedł do jadalni.

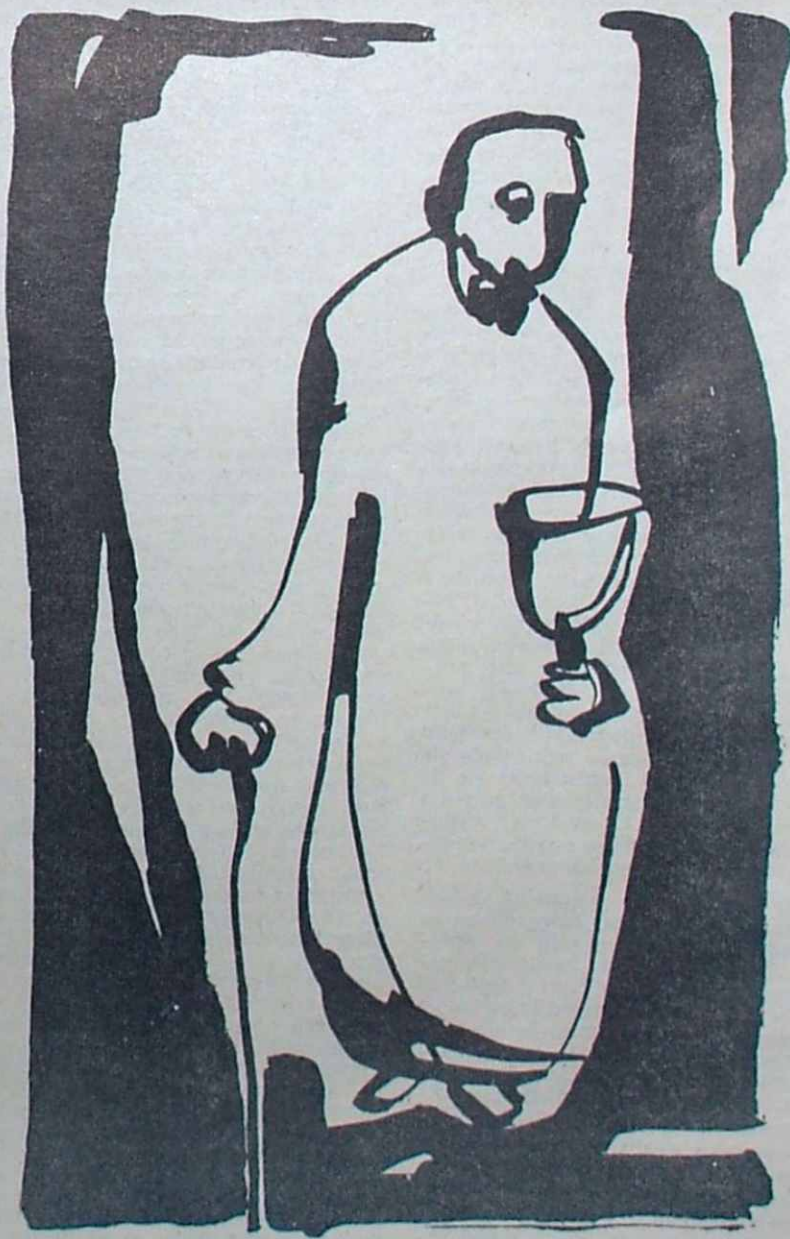
Olbrzymi kredens świecił srebrem i kryształami. Na stole stały talerze, dookoła których rozsypane były okruchy chleba. W kredensie również nie znalazł nic do jedzenia. Po chwili wyjął stamtąd butelkę starego koniaku, do której się uśmiechnął przyjaźnie. Postawił na stole kielich przedziwnej weneckiej roboty i nalał go płynem, podobnym do roztopionego złota. Ślepy Tom nigdy nie pił nic równie doskonałego. Aż lzy mu w oczach stanęły, gdy nalewał sobie drugi kieliszek.

Zapomniał o głodzie. Było mu coraz cieplej, raźniej, weselej. Patrzył przez wielkie okno na roześmiany dzień wiosenny i sam się uśmiechał do słońca. Przypomniał sobie jakąś piosenkę i zanucił drżącym głosem:

„Gdybyś ty była przy mnie, ach!
Gdybyś tu była...”

Ani się spostrzegł, gdy butelka była już próżna. Uczuł się sennym. Odsunął krzesła stojące dookoła stołu i rozłożył się na puszystym dywanie. Było mu miękko i wygodnie. Po chwili usnął. I nie obudził się więcej.

Jan Parandowski



Rys. Teresy Targońskiej.

„Ciekawość człowieka. Studia nad duszą ludzką, nad jej złem i dobrem, które w takich właśnie warunkach bytowania przejawiają się najjaskrawiej. Nie ma książek? Nie nęca pisma niemlekkie? Dobrze. Ale jest żywy człowiek w swych tysiącznych postaciach, z piekłem i niebem swej duszy, od kanali esesmańskiej do ofiarnego sanitariusza, który bez szemrania znosi kary operowanego na ślepą księżkę kolegi i oka przy nim nie zmruży świadcząc mu najprzykrzejsze posługi. Nie ma bliskich i ukochanych twarzy. Trudno, ale są skąpe, ale drogie listy i braterskie serca kolegów”.

Zdobyta przez długotrwały trening równowaga duchowa i wrodzony dar odnajdywania punktów świetlnych w nieprzeniknionej na pozór ciemności dopomogły autorowi „Serc” do przezwyciężenia owych fatalnych dziesiętności, które kogoś innego przyprawiły by mogły o śmierć lub o nieuleczalny uraz psychiczny. Tymczasem jego mentalność nie tylko nie uległa, ale częstemu w tych warunkach zwyrodnieniu, ale pogłębiła się o ciężko zdobytą wiedzę o człowieku, a nawet stała się źródłem swolstego optymizmu.

Niewątpliwie obozy hitlerowskie były piekłem za życia więźniów. Ale z tego piekła autor „Serc” umiał wyłowić momenty ulgi, pogody, zachwytu nad pięknem. Pewnego razu, pracując

przy urabianiu kompostu, usłyszał słowa:

— I wtedy rycerze udali się do księcia Jeremiego prosząc go o pozwolenie przedostania się ze Zbaraża do króla. Pierwszy wyruszył Longinus.

To jeden z więźniów opowiadał otaczającej go gromadzie kolegów treść Trylogii.

Inny moment: Wiersz Norwida, mówiony z pamięci przez artystę-malarza z Lublina.

Jak dziki zwierz, przyszło
nieszczęście do człowieka
I zatopilo weń fatalne oczy...
— Czeka —
Czy człowiek zboczy.
.....
I spostrzegło że on patrzy,
co skorzysta
Na swym nieprzyjacielu.
I zachwiało się całą postaci wagą
— I nie ma go.

Utwór ten stał się objawieniem, jeszcze jednym drogowskazem autora na ciernistych ścieżkach obozowych, podpora przyjętej przezeń postawy obronnej i zdobywczej zarazem.

W sumie: „Serc” są nie tylko jeszcze jednym dokumentem zbrodni hitlerowskich, ale są książką wychowawczą, budującą optymizm, wiarę w człowieka i w triumf ducha ludzkiego nad złem i przemocą*).

Stefania Podhorska-Okołów

Kazimierz Andrzej Jaworski: „Serc” są nie tylko jeszcze jednym dokumentem zbrodni hitlerowskich, ale są książką wychowawczą, budującą optymizm, wiarę w człowieka i w triumf ducha ludzkiego nad złem i przemocą*).

(Dokończenie ze str. 3)

urzędowe jest skazą na bezkompromisowej osobowości poetyckiej. Pisał co prawda dalej, ale niczego nie ogłaszał, nikomu się nie zwierzał, chowając starannie swe wiersze pod kluczem, w „najprywatniejszym” biurku. Dziwna to i bolesna przystawa.

Nie zgodził się nawet na wznowienie dawnych swych poezji np. „Anabase” wydanej przed 10 laty w ograniczonym nakładzie. Na próżno go namawiała gorąco entuzjastki jego wierszy: Gide, Larbaud, Claudel, Jacques Rivière, Valéry. Dopiero katastrofa majowa Francji w 1940 r., emigracja i utrata całego dorobku rękopisów poetyckich spalonych przez gestapo — jak by rozwiązały ręce poecie. W Waszyngtonie następuje nowy rozkwit twórczości. W 1942 r. pisze Saint John Perse poemat pod znamienym tytułem „Exil” („Wygnanie”). Chodzi tu nie tylko o dosłownie pojętą banicję z odczynnym zajęciem przez wroga, ale i o wieczne osamotnienie słowa poetyckiego

Bramy otwarte ku psakom
Bramy otwarte wygnaniu
Klucze dla latarników.
Gwiezda umiurawiana
W kamienną przystbę.

„Otwarte bramy”

W „Deszczach”, znakomicie przełożonych przez Zbigniewa Bienkowskiego, ironia poetycka — która można by porównać ze wspaniałą ironią Norwida — pozwala Perse'owi przeciwstawić nihilizmowi hitlerowskiego niszczycielstwa wielką nadzieję humanistyczną.

Tragedię wygnania przetwarza wtedy poeta na nową inspirację poetycką. Panice intelektualnej, wywołanej zbrodniami wojny i hitleryzmu chce przeciwstawić „poczucie jedności naszej planety”. Jak zwykle uderza raczej w ton epiczny, niż liryczny. Ale jest to już próba nowej epickości, nie zadowalającej się osnową historyczną, opiewającej człowieka jako „lokatora wszechświata”. Równocześnie dokonuje Saint John Perse próby przetworzenia narzędzi wyrazu poetyckiego.

Po wyzwoleniu nie wraca do dyplomacji. Niezadowolony wędrownik przebywa pustynie Arizony i Labradoru. Nigdy jednak na Morzu Karaibskim nie uległ pokusie zobaczenia własnej swej wyspy rodzinnej.

W 1946 r. ukazuje się nowy tom Perse'a „Amers” („Gorzkie”). W 1958 r., wróciwszy do Francji, osiedlił się poeta na małej wyspie koło Lazurwego Wybrzeża. Nikogo nie przyjmuje, nie udziela wywiadów, nie cierpi reklamy.

Powoli toruje sobie drogę zrozumienia jego poezji. „Oto wielki powiew poezji na miarę Ajchylosa i Pindara” — pisał po ogłoszeniu „Amers” krytyk niezbyt na ogół zyczący eksperymentom: Robert Kemp, Wprawdzie recenzent „Figaro Littéraire”, Emile Henriot, zastrzegł, że twórczość Perse'a, to jedynie „rezonans barw i dźwięków” a nie „pojęć, czy wyobrażeń”, ale i on w jury Nagrody Państwowej z 1959 roku głosował za twórcą „Anabase”. „Wraz z Bretonem, Jouve, Reverdyem i Charem — by jedynie zacytować żyjących — króluje on poezji francuskiej”, pisał o Saint John Perse we „France Observateur” Jean Clarence Lambert. (Nawiasem mówiąc ten krytyk zapomniał o Aragonie i Supervielle'u). A trzeba pamiętać, że cała dotychczasowa twórczość Saint John Perse'a nie przekracza 500 stron.

Najlepszą dotychczas, najbardziej wyczerpującą książką o twórcy „Anabase” i „Exil” napisał Roger Caillois, który podobno dzięki Perse'owi „nawrócił się” na kult poezji, dotychczas dla niego obojętnej.

Wojciech Natanson

PANSTWOWE Zakłady Wydawnictw Szkolnych przystąpiły do wydawania pod redakcją Eugeniusza Suwrymowicza serii opracowań przystosowanych do programu nauczania literatury ojczyznej w szkole średniej p. n. Biblioteka Analiz Literackich. W r. 1959 ukazały się 3 pozycje: 1) Wandy Achremowiczowej „Nad Niemnem Elizy Orzeszkowej”, 2) Marii Grzędzielskiej „Wiersze wybrane Marii Konopnickiej” i 3) Jerzego Starnawskiego „Wiersze wybrane Adama Asnyka”. W druku znajdują się: Juliusza Kijasa „Potop Henryka Sienkiewicza” i Mieczysława Romankówny „Lalka Bolesława Prusa”. Nie podano prospektu dalszych pozycji wydawnictwa; wydaje się, iż Redakcja traktuje książeczki wydane i znajdujące się w druku jako próbne, które powinny w pracy szkolnej wykazać swoją przydatność. Wszystkie wymienione pozycje dotyczą realizacji programu nauczania literatury w klasie X na tle wiadomości o życiu wybitnych twórców w II połowie XIX wieku. Podręczniki szkolne do historii literatury mają charakter zasadniczo syntetyzujący i ogólny i są stosunkowo mało użyteczne w procesie nauczania poza lekcjami przeznaczonymi do syntetycznych ujęć twórczości poszczególnych autorów oraz poszczególnych okresów literatury. Właściwym i najważniejszym proces kształtujący odbywa się w czasie poznawania tekstu w całej jego wymowie ideowej i artystycznej w powiązaniu z całością twórczości pisarza na tle jego epoki. Poznawanie tekstu z natury rzeczy musi mieć przebieg analityczny, pozwalający w końcu na pewne wnioski ogólne i syntetyczne. Przy takim rozumieniu procesu nauczania literatury sam fakt wydawania Biblioteki Analiz Literackich należy uznać za celowy, słuszny i pożądany. Realizacja programu zawsze wymagała dzieł pomocniczych oprócz podręcznika, a przede wszystkim tekstów, które wydawano osobno lub też w wypisach na każdej klasie. Teksty bez wyjaśnień nie spełniają właściwej roli w szkole, teksty zaopatrzone w wyjaśnienia i poprzedzone wstępem krytycznym bywają często zbyt trudne i jednostronne oraz stosunkowo mało pobudzające do samodzielnego myślenia. Dlatego cenne pod względem naukowym wydawnictwa Biblioteki Narodowej posiadają tylko względną przydatność dydaktyczną; lepiej już spełniały tę rolę wydawnictwa przedwojennej Wielkiej Biblioteki. Próba wprowadzenia do podręcznika szkolnego M. Kridla całego arsenału pytań okazała się raczej pomocna dla nauczyciela aniżeli dla ucznia. Próby wydawania opracowań-streszczeń także miały się z celem dydaktycznym, jako że dopuszczaly unikanie zapoznania się uczniów z tekstem i upodobniły się do tzw. „bryków”. Słusznie więc uczyniła Biblioteka Analiz Literackich wypuszczając w świat prace oparte na nowych założeniach dydaktycznych.

Trzy wydane już tomiki posiadają pewne cechy wspólne, które chyba są konsekwencją zastosowania się autorów do instrukcji czy postulatów redaktora serii. Do tych cech wspólnych można zaliczyć: 1. przedstawienie i omawianie tekstów takie, że nie dopuszcza zastąpienia tekstu przez jakąś jego namiaszkę streszczającą, 2) umiarkowana informacja biograficzna, bibliograficzna i genetyczna, 3) równowaga w procesie analitycznym elementów ideowych i artystycznych, 4) stosowanie istotnej metody heurystycznej (poszukującej) za pomocą zróżnicowanych indywidualnie sposobów, m. in. pytań zagadnieniowych w ilości minimalnej,

najkonieczniejszych do poznania utworu, 5) ustawienie ucznia-odbiorcy do tekstów w ten sposób, aby nie zatrzeć pierwszego przeżycia w kontakcie z dziełem literackim, 6) umiarkowana egzemplifikacja sądów o dziele, potraktowana ewolucyjnie w czasie historycznego narastania lub opadania znaczenia dzieła w różnych pokoleniach odbiorców, 7) indywidualna swoboda autora w granicach naczelnej zasady dydaktycznej, to znaczy dążenie do jak najbardziej samodzielnego ze strony ucznia przeżycia i poznania dzieła z osobistego z nim kontaktu; indywidualna swoboda autora może nawet powinna wycisnąć płgno osobiste na metodycznym układzie opracowania, ale w oparciu o najnowsze wyniki nauki o literaturze (antyschematyzm metodyczny).

Wymienione cechy wspólne posiada każdy z trzech tomików, lecz w różnym zakresie, stopniu i natężeniu; różnego każde opracowanie cechują właściwości indywidualne zależne od typu umysłowego, emocjonalnego i społecznego każdego autora. Do właściwości indywidualnych zaliczyć również trzeba głębszą lub płytszą postawę pedagogiczną, szerszą lub węższą postawę światopoglądową autora-nauczyciela. Cel naukowo-wychowawczy może osiągnąć tylko ten autor opracowania, który posiada duże doświadczenie w szkole średniej lub podstawowej i średniej. Profesorowie wyższych uczelni lub instytutów badawczych, którzy nigdy nie uczyli w szkole średniej, w wyjątkowych tylko wypadkach potrafią sprostać wymaganiom autorskim zarówno podręczników szkolnych, jak też książek pomocniczych, o których mówimy.

Stwierdziwszy cechy wspólne charakterystyczne wartości dodatnie wszystkich trzech pozycji Biblioteki Analiz Literackich, zwrócimy obecnie uwagę na właściwości indywidualne każdej z nich. Pamiętać przy tym musimy, że wydawnictwo to służy także jako pomoc dla nauczyciela-polonisty, szczególnie dla początkującego w zawodzie pedagogicznym. Duże również znaczenie posiada w opracowaniu metodycznym rodzaj i gatunek literacki omawianego utworu i w związku z tym subiektywne rozmiłowanie i znawstwo autora w danym rodzaju czy gatunku.

Praca Wandy Achremowiczowej o „Nad Niemnem” Orzeszkowej w układzie swoim nie odbiega od tradycyjnych ujęć według doskonałych wskazań Kazimierza Wóycickiego (*Rozbiór literacki w szkole*). Mamy tu do czynienia z układem trzyczęściowym: I — Geneza, II — Analiza (A — temat i problematyka powieści, B — środki artystyczne) i III — Znaczenie „Nad Niemnem” w literaturze polskiej. Umiarkowany genetyzm jest konieczny do zrozumienia epopeicznej powieści Orzeszkowej na tle stosunków społeczno-politycznych i ekonomicznych na Litwie po powstaniu 1863 roku. Pozytywny stosunek pisarki do powstania zawążył mocno na sposobie powstawania jej powieści. Wyodrębnienie w analizie tematyki i problematyki z szerokim uwzględnieniem obrazu współczesnej rzeczywistości wewnątrz tego dzieła doskonale wprowadza w istotę utworu, a osobne potraktowanie analityczne

środków artystycznego wyrazu (kompozycja, postaci, opisy, język) unaoacza uczniom funkcję tych środków wyrazu w kształtowaniu całościowego obrazu epopeicznej powieści. Dział III — Znaczenie „Nad Niemnem” w literaturze polskiej — wskazuje na miejsce tej powieści w całości twórczości Orzeszkowej oraz daje zestawienie „Nad Niemnem” z innymi (dawniejszymi i współczesnymi) dziełami literatury polskiej, co z kolei pozwala autorce na dokonanie syntetycznego zamknięcia rozważań. Dział ten kończy się wyborem sądów krytyki o „Nad Niemnem” na przestrzeni kilkudziesięciu lat, aż do krytyki najnowszej (marksistowskiej). Na przykładzie opracowania „Nad Niemnem” przez Achremowiczową uwiadamia się pełna wartość dzieła Wóycickiego dla celów dydaktycznych dzisiejszej szkoły, szczególnie, gdy chodzi o prozę artystyczną dużego kalibru. Autorka unowocześniła Wóycickiego przez pominięcie wątpliwej wartości dociekań psychologicznych w genezie dzieła Orzeszkowej, przez rozszerzenie problematyki konfliktowej pokoleń w „Nad Niemnem” i przez obszernie potraktowanie środków artystycznego wyrazu — wszystko to zostało zrobione w ten sposób, że uczeń, uzyskując szereg informacji, nieustannie musi sam dociekać, stawiać pytania i odpowiadać na nie w oparciu o konkretny materiał powieści Orzeszkowej. Autorka tylko od czasu do czasu rzuca swoje pytania lub wydaje zlecenie wyszukania odpowiednich partii powieści dla udowodnienia tego lub owego twierdzenia. Całość pracy Achremowiczowej otacza atmosfera umiłowania przedmiotu, co udziela się korzystającemu z jej książeczki i pobudza do głębszego poznania twórczości Orzeszkowej, a tym samym wyrabia w uczniu przyszłego kulturalnego, świadomego czytelnika. Dla nauczyciela-polonisty książeczka Achremowiczowej jest ułatwieniem w pracy, gdyż gromadzi wiele materiału krytycznego, dobrze informuje, a także daje wzór dydaktyczny s w o b o d n e g o obracania się w różnorodnych sposobach dotarcia do umysłu i serca młodzieży w zgodzie z obiektywną wymową artystycznego dzieła.

„Wiersze wybrane” Adama Asnyka w opracowaniu Jerzego Starnawskiego prezentują szereg odmiennych zabiegów dydaktycznych w zestawieniu z pracą Achremowiczowej. Sam fakt, iż mamy tu do czynienia z utworami poetyckimi, przeważnie lirycznymi wywołał konieczność zastosowania metody integralnej z dopuszczeniem możliwości różnych interpretacji danego utworu. W sprawie wyboru wierszy można zawsze mieć takie czy inne zastrzeżenia, dlatego nie kwestionuję wyboru dokonanego przez Starnawskiego, natomiast podział ogólny na dwa cykle zagadnieniowe: poeta miłości i przyrody oraz poezja programowa i ideowa, nie wydaje mi się szczęśliwy. Sądzę, że podział na grupy: poeta uczuć i poeta myśli lepiej by odzwierciedlał mieszana twórczą postawę Asnyka, romantyczno-pozytywistyczną, epigoństwo i nowatorstwo zarówno ideowe, jak artystyczne. Autor w uwagach wstępnych widocznie to odczuwa, skoro zakończył je szeregiem pytań, na które

BIBLIOTEKA ANALIZ LITERACKICH

FELIKS ARASZKIEWICZ

należy dać odpowiedź w sprawie dwu aspektów twórczości Asnyka: romantycznego i pozytywistycznego. Notabene, nie można stawiać tych pytań „przystępując do lektury utworów Asnyka”, jak chce Starnawski, bowiem pytania tego rodzaju winny wynikać z dokonanej już lektury poszczególnych utworów, a następnie całego wyboru łącznie. W innym miejscu uwag wstępnych mówi autor słusznie, iż rozbiory stanowią jedynie wskazówkę do tego, jak można interpretować przeczytany utwór, ale w wykonaniu zastosował dość suchy i schematyczny sposób analizy do wszystkich utworów, przy czym nie unikał zbyt drobiazgowych pytań (na przykład na str. 11), które odwołują czytelnika-ucznia od uroku i barwy utworu lirycznego. Pod tym względem pokutuje jeszcze u Starnawskiego erotematyka Kridla i Czapczyńskiego, która doprowadzała do tego, że uczeń w przyszłości nie miał ochoty powrócić do danego utworu dla własnej potrzeby ducha. Trafnie autor zastosował chronologiczny układ wierszy wewnątrz obydwu cykli, uwiadamiając w ten sposób ewolucję i różnorodność form poetyckiego wyrazu na tle ewolucji przeżyć uczuciowych i światopoglądowych poety. Za szczęśliwe posunięcie dydaktyczne należy uznać tzw. eksperyment filologiczny tekstu w dwu wersjach. Zabieg ten porządnie przeprowadzony na dwóch utworach poucza uczniów o procesie powstawania utworu, o twórczym zmaganiu się poety ze słowem, z rytmem, rymem, metaforą i innymi stylistycznymi kształtami wyrazu. Ta innowacja w analizie dla potrzeb szkolnych wydaje mi się bardzo pożyteczna pod warunkiem, że nie będzie nadużywana przez interpretatora. Za zaletę metodyczną uważam również skromne, ograniczone zajmowanie się autorem schematami rytmicznymi wiersza Asnyka; dla ucznia szkoły średniej to wystarczy i jednocześnie przeciwnie do trwania czaru wiersza. Przeciwnie tylko nieliczni uczniowie będą w przyszłości polonistami. Interesujące są przypomnienia historycznoliterackie lub pokrewieństwa literackie, które autor stosuje często i słusznie, bo wyrabiają one wiedzę porównawczą i osadzają utwór w określonym historycznie kontekście. Rozdział ostatni (dość obszerny) pt. „Asnyk w sądach współczesnych i potomnych” przejrzysto ukazuje życie poetyckie Asnyka u różnych pokoleń odbiorców. Tu uczeń przekona się, że każde pokolenie dokonuje rewizji sądów poprzednich i że w ten sposób ustala się ranga pisarza czy poety (problem klasyków literatury). Dobrze, że autor nie usiłował ustosunkować się do wypowiedzi zacytowanych krytyków, pozostawiając tę rzecz samodzielną myśl ucznia.

Maria Grzędzielska Konopnickiej, w ten sposób, że prawie zupełnie ukryła aparatę warsztatową zarówno naukową, jak i dydaktyczną; tylko uwagi wstępne i bibliografia ukazują tę aparatę poza tym wszystkie rozdziały noszą tytuły omawianych grup utworów według tytułów Konopnickiej: „Dwa obraski”, „Jak ci śpiewać ziemio!”, „A jak poszedł król...”. Przyroda, sztuka, liryczna osobista (ten tytuł należy do autorki), „Rychło się szala u wagi nateży”. Analizę grup utworów przeprowadza autorka sposobem zdecydowanie aschematycznym, przykładając różną miarę poznawania — po mocnym uprzednio przeżyciu — do charakteru i gatunku omawianej poezji. Tylko gdzieniegdzie, rzadko jak by mimochodem pytanie

Wydawnictwo „Wiedza” w Warszawie, 1959 r., 3 tomy, 100 str. w tym 100 str. w tym 100 str.

Wydawnictwo „Wiedza” w Warszawie, 1959 r., 3 tomy, 100 str. w tym 100 str. w tym 100 str.

Wydawnictwo „Wiedza” w Warszawie, 1959 r., 3 tomy, 100 str. w tym 100 str. w tym 100 str.

Wydawnictwo „Wiedza” w Warszawie, 1959 r., 3 tomy, 100 str. w tym 100 str. w tym 100 str.

Wydawnictwo „Wiedza” w Warszawie, 1959 r., 3 tomy, 100 str. w tym 100 str. w tym 100 str.

Wydawnictwo „Wiedza” w Warszawie, 1959 r., 3 tomy, 100 str. w tym 100 str. w tym 100 str.

"Książki Karola Maya są..."

(Dokończenie ze str. 2)

czy Reymonta. Błędem byłoby zalecać im także Mickiewicza, Słowackiego czy nawet Gałczyńskiego lub Tuwima. Trzeba uwzględnić wiek, poziom i zainteresowania młodzieży, a wówczas okaże się, że literatura klasyczna może ją zaspokoić w skromnym stopniu.

Dziewczęta pragną przede wszystkim powieści podróźniczych, które otrzymały 33 głosy i romansów — 31 głosów. Interesują się także powieściami kryminalnymi i obyczajowymi (po 23), historycznymi (21) i przyrodniczymi (17). Powieści indiańskie interesują już dziewczęta znacznie mniej (7 głosów), podobnie jak bałki i powieści fantastyczne (po 5), naukowe (3) i wojenne (2).

Chłopcy są przede wszystkim zwolennikami „kryminalów”, które uzyskały rekordową liczbę 50 głosów. Bardzo chętnie czytane są też powieści podróźnicze (41), historyczne (25), indiańskie i kowbojskie (20) i wojenne (18). Dość chętnie sięgają też chłopcy do powieści fantastycznych (11) i przyrodniczych (8) oraz morskich (7). Słabe zainteresowanie budzą natomiast powieści naukowe i lotnicze (po 2).

W oparciu o taką lekturę młodzież urabia sobie ideał bohatera, który doświadcza (jak zwykle zwłaszcza u chłopców) jest daleki od ideału prawdziwego człowieka.

Dla dziewcząt ideałem bohatera książkowego jest Ania z powieści „Ania z Zielonego Wzgórza” (28 głosów), obok której zajmują miejsca Staś i Nel z powieści pt. „W pustyni i w puszczy” (26) oraz Hedwiga z „Panią z okienka” (16). Winnetou ma tylko 7 zwolenników, zaś Marta Orzeszkowej 8, Korycki z „Panią z okienka” — 6, Adaś Cisowski z „Szatana z VII klasy” — 5, „Antek” Prusa — 4, Kmieć, Zagłoba, Wołodziejowski — po 3, Stefcia z „Trędowatej”, Balladyna i Skrzetuski — po 1.

Chłopcy nie widzą świata poza Winnetou, który otrzymał 34 głosy. Sekunduje mu dzielnik Old Surehand (27 głosów). Staś Tarkowski otrzymał głosów 17, Aramis z „Trzech Muszkieterów” — 11 a Atos — 10, Zagłoba i Nel — po 10, Wodna lilia — 8, Koko i Wołodziejowski — po 3, Arsen Lupin — 2, Lamigłowa, Robin Hood i Tarzan — po 1.

Czego szuka młodzież w książkach? Jakimi cechami odznaczać się muszą bohaterowie powieści, by mogli stać się ideałami dorastających chłopców

przypomina, że to książeczka dydaktyczna dla ucznia. Subtelna, pełna wrażliwości poetyckiej i znawstwa przedmiotu analiza utworów wprowadza czytelnika (tak, bo to jest książeczka „do czytania”) niepostrzeżenie w aureę poezji Konopnickiej, w zmieniającą się świadomość człowieka poetki i w doskonałe się wciąż narzędzia wyrazu lirycznego. Gdy dochodzimy razem z autorką do zamknięcia, okazuje się, że nie tylko poznaliśmy drogę twórczą Konopnickiej-poetki ale zostaliśmy wciągnięci w krąg jej świata uczuć, myśli i maestrii, a więc tego, co nazywamy poetyką Konopnickiej. Mało tego, rozważania Grzędzielskiej zmusiły nas do stawiania sobie własnych pytań, wywoływanych subtelny aluzjami interpretatorski. Wykorzystanie korespondencji Konopnickiej z Orzeszkową we właściwych momentach opracowania również przyczyniło się poważnie do poznania psychologii twórczej autorki „Pan Balcera” na tle porównawczym z innymi poetami okresu pozytywizmu, a zamknięcie głosów krytyki wypowiedzianą Kasprowicza po dwukrotnym uprzednio cytowaniu Sienkiewicza ukazało konkretnie Konopnicką w kontekście historycznoliterackim, który dla ucznia stał się pogłębieniem wiedzy o indywidualnej roli każdego twórcy w obrębie prądu literackiego i kulturalnego.

Kończąc, należy wyrazić uznanie dla nowatorskiej próby naukowo-dydaktycznej, jaką reprezentuje Biblioteka Analiz Literackich pod dowodnictwem okiem redaktora E. Sawimowicza i w trafnym wyborze autorów. Przyjemnie jest stwierdzić, że autorami trzech pierwszych książeczek są pracownicy obydwu wyższych uczelni lubelskich.

„Dziewcząt? Dlaczego Winnetou bije na głowę Wołodziejowskiego, Kmiećca czy Zagłobę? Zajrzyjmy do ankiety, by poznać się z motywacją dokonanego przez młodzież wyboru.

Zacznijmy od dziewcząt. Oto kilka charakterystycznych wypowiedzi na temat ich ideału bohatera:

„Najlepiej podobał mi się Maurycy Gerald z powieści „Jeździec bez głowy”. Bohater ten podoba mi się dlatego, że jest bardzo sprytny, umie szczerze kochać, jest uczciwy, nikomu nie dokucza i nikt nie ma do niego żadnego żalu. Bohater ten nie jest naiwny i nikomu się nie narzuca”.

„Podoba mi się bardzo Korycki („Panią z okienka”), dlatego, że jest śliczny. Wysoki, zgrabny, czarne, wijące się włosy i szczególnie czarne, świecące oczy. Podoba mi się za odwagę, porywczosć i że nie jest zarozumiały. Swoją drogą podoba mi się Winnetou za jego posagowe oblicze, za odwagę, szybkość myślenia”.

„Dziś z książki pt. „Mój Rycerz” bardzo mi się podoba, ponieważ wygląd zewnętrzny miał bardzo piękny, ale mimo to miał piękny charakter. Był wykształcony i bardzo pracowity. Kochał swoją dziewczynę szczerze i wobec niej był dżentelmenem. W ogóle jest on bardzo innym bohaterem niż ci, których dotąd poznałam”.

„Moim bohaterem, który mi się najbardziej podoba, jest Winicjusz z powieści Sienkiewicza „Quo vadis”. Jest przystojny, poważny i nieugiętej woli. Wyróżnił się od reszty otaczających go ludzi sposobem życia. Nie chodzi na zabawy, które urządza Nerón, gdyż nie znosi tak bezwstydnego życia”.

Cytaty można mnożyć, ale nie zmieni to wrażenia, jakie wywołać mogą wybrane i przytoczone opinie, z których jak na dłoni widać obraz dziewczęcych ideałów. Jest nim niewątpliwie młody człowiek, bezwarunkowo piękny, chociaż — co warto podkreślić — nie wysiarcza to jeszcze, by mógł być ideałem. Musi on odznaczać się przede wszystkim takimi cechami charakteru, jak: szczerosć i głębokość uczuć, prawdomówność, silna wola, męstwo, fantazja, kultura, wykształcenie, słowem — prawdziwy ideał — okaz raczej spotykany rzadko wśród ludzi, znany głównie z książek.

Jeśli chodzi o chłopców — marzenia ich idą w kierunku, jaki wytycza im lektura dzieł Maya i jemu podobnych pisarzy. Świadczą o tym najwymowniej wybrane przykłady:

„Książki Karola Maya są naprawdę piękne. Ulubionym bohaterem moim jest Winnetou, czerwonoskóry dżentelmen i jego biały brat, Old Shatterhand. Winnetou podoba mi się dlatego, że był odważny i sprytny. Nie dał sobie zrobić krzywdy i zhańbić się. Był zawzięty i po śmierci siostry i ojca postanowił zabić mordercę, którym był Santer. Nie mordował ludzi bez powodu, tak jak czynił inni. Był naprawdę czerwonoskórym dżentelmenem”.

„Mój ulubiony bohater to Old Shatterhand z „Winnetou” Karola Maya. Podoba mi się dlatego, że był to młodzieniec bardzo szlachetny i odważny. Dużo razy zagłądał śmierci w oczy, ale zawsze wychodził cało. Miał serdecznego przyjaciela, Winnetou, którego bardzo kochał. Zawsze by jeden za drugiego oddał życie. Bardzo lubił przebywać wśród Indian Apaczów. Kochał ich jak braci. Zawsze był po stronie sprawiedliwości i prawdy”.

„Bardzo podobał mi się Koko, który o milimetry unikał ciosu przeciwnika. W owym czasie szalała za nim Ameryka. Miał bardzo silny cios, a nikt nie widział, jak on znosił z nóg przeciwnika”.

„Najlepiej podobał mi się człowiek-malpa z książki „Tarzan”. Dlatego podobał mi się, że był silny, dobrze zbudowany, sprytny i miał dobre serce”.

O ile dziewczętom może wystarczyć człowiek obdarzony idealnym charakterem, o tyle chłopcy kładą większy nacisk na jego siłę, zarówno psychiczną, jak i fizyczną. Chcą, by ich bohater był człowiekiem wielkim, dokonywał niezwykłych czynów, zwyciężał. W parze z jego osiągnięciami musi iść zawsze szlachetność, sprawiedliwość, przyjaźń i uczciwość, a także spryt, brawura i bohaterstwo.

Gdy się bierze pod uwagę te właśnie wymagania młodych dziewcząt i chłopców, ich żądę przygód, niezwykłości i wielkości, dobra i piękna — zrozumiałe staje się to, że trudno im znaleźć w literaturze współczesnej zaspokojenie ich pragnień. Młodzież niechętnie interesuje się problematyką aktualną w literaturze, w której nie umie dostrzec dość częstych okazji do pokazania wielkich

Kto dostanie w „lep”

MARIA GRZĘDZIELSKA

Zacznę od dowcipu z bródką, który mi opowiedział przed wojną pewien starozakonny lekarz: Przyszedł do rabina zdradzony żoną i prosił o radę, jako że zastał żonę z przyjacielem na kanapie. A rabin pomyślał, pokiwał głową i kazał mu wynieść kanapę. Dedykuję tę dykteryjkę doktorowi Rosiakowi, który chce ustrzec nasz naród od sprzeniewierzenia się ortografii. Jest to zapobiegliwość tego typu, jak dawanie dobrych stopni w celu podniesienia wyników nauczania, albo pozwalanie na wszystko, gdy krnąbrne dziecię nie słucha zrzędnego taty. Kanapa wyniesiona.

Argumenty p. doktora Rosiaka są bardzo konkretne: oszczędził się tyle a tyle bel papieru, ułatwi się naukę pisania młodzieży szkolnej i analfabety, języka polskiego zaś cudzoziemcom, uczyni się zbytecznymi słowniki ortograficzne. Owe bele papieru zyskamy dopiero po usunięciu znaków podwójnych: **cz, sz, ch, rz**, ale chyba też **dz, dź, dż**. Przypuścimy, że to już się stało, że równocześnie zrobiono porządek z **ó, ą, i, ę**. Zacznymy dzialeczki uczyć nadobnie nowej pisowni, a one tymczasem czytają stare książki i dopieroż bałagan w ich lepetynkach. Należy więc im dać książki drukowane w nowej ortografii, ale na przedruki znów wyjdzie sporo bel papieru, sporo puszek czernidła, sporo godzin pracy zecerów, redaktorów, introligatorów, a nade wszystko adiustatorów i korektorów, które właśnie skończyły studia polonistyczne starego stylu ortograficznego i same muszą się przeuczać. A tymczasem stare, wykształcone pokolenie zaczyna robić „byki” i pisze z oporami, bo głowa i ręka mają swoje nałogi. W rezultacie, póki stopniowo nie wyjdą z użycia oddane na przemiał stare książki, chaos może potrwać dobre sto lat. Rekopis Pana Tadeusza będzie wtedy należeć do paleografii, a pierwodruk (mój Boże!) do starodruków. Za te pieniądze lepiej by było nadrukować więcej książek i dać do bibliotek popularnych, okroiliby się i na lokale, bo przecież analfabetyzm jest raczej nieczytaniem niż niepiśmiennością, a wtórny wynik na pewno z nieczytania, a nie z trudności ortografii. Co do cudzoziemców zaś, to niektórym należałoby powtórzyć przypowieść o belce (nie papieru, ale tej z oka bliźniego). Pół biedy z Rosjaninem, który ma prawie fonetyczną pisownię, choć i w niej pokutuje anachroniczny **jer**, niby litera, a właściwie znak diakrytyczny. Gorsza jest grażdanka, alfabet straszliwie antyoptryczny, kwadratowy, mordujący lacińskie oko. A przecież się uznaje przyczynę, dla których Związek Radziecki przy niej pozostał, są one ekonomiczne i kulturalne, te właśnie, które dr Rosiak wysuwa tak jednostronnie. Nie byłoby jednak mądre słuchać spokojnie i potulnie krytyki naszej pisowni ze strony Anglików i Francuzów. Ten kocioł sam smoli. Choć to trzy głoski, a sześć liter, **eau** — jedna głoska, a trzy litery, **haine** — dwie głoski, a pięć liter. Z angielską pisownią jeszcze gorzej, a konsekwencja! Tylko to dobrze, że tam wyższy wiedzą, jak fikcyjną jest ortografia fonetyczna, jakie by to spowodowało kłopoty z pisaniem spółgłosek brzmiących

i bohaterkich czynów. Woli więc młody czytelnik uciekać w krainę fantazji czy przeszłych epok. W poszukiwaniach tych jednak sięga często po lekturę bezwartościową, taką jak: Koko, Lamigłowa czy powieści kryminalne. Nie jest też najlepszą zdobyczą Karol May, bo dużo większe wartości przedstawiają dzieła Curwooda czy Londona, z których lektura jest trochę gorzej. Podobnie zresztą przedstawia się sprawa Meissnera, Fiedlera, Ossendowskiego, Makuszyńskiego i innych.

Przed literaturą współczesną stoi odpowiedzialne zadanie dostarczenia młodzieży dzieł o wielkich ludziach i wielkich czynach naszych czasów. Zanim jednak takie powieści powstaną, trzeba przyjąć młodym dziewczętom i chłopcom z pomocą w szukaniu wartościowej lektury, by mogli w oparciu o nią kształtować i urabiać ideał bohatera na miarę człowieka z prawdziwego zdarzenia.

E. i R. Rosiak

cych u Francuzów tylko w łączeniu międzywyrazowym lub z precyzowaniem barwy a, e, o, oe. Nasza pisownia jest prawie fonetyczna, nie naukowo, lecz praktycznie: ma ustalone i nieliczne kombinacje znaków.

A teraz szczegóły. Czy wykluczyć nasze **ą i ę**? Przecież one jeszcze brzmią; mówi się: **chodzą**, chociaż **chodze**, **wąsy**, **ręsy**. Czy wobec tego pisać: **kaspekt**, **recezja**? skoro się pisze **kwadrans**, **instykt**, **rynszok**? Czy pisać **wonsy**? Czy znać **chodza** za **chodzo**? — Czy pisać **wus**, **wuzek**, **wozu** i **wius**, **wiozła**? Czy tylko **wuz** i **wiuz**? Czy odróżniać **więz** i **więsz**? A może według tradycyjnej recepty (kto nie wie, jak pisać **papież**, niech pisze **ojciec święty**) zabronić słowa **więsz**, aby nie wiodło na pokuszenie? I wypędzimy ten czasownik na rzecz: **prowadzić**. Nie będzie wątpliwości. Zda się jednak, że inteligentniejsze dziecko dość szybko pokonuje pisownię związaną z wymianą funkcjonalną. — Czy rezygnować z **ch** jak Chorwaci? A może lepiej **h** przekreślać? Skoro zaś mowa o literach przekreślonych, to jest i **l**, mylone z **u** spółgłoskowym lub opuszczane. Są błędy w rodzaju **zgina** zamiast **zginął**, jest pisanie tu i ówdzie **adny** i **użko** zamiast **ładny** i **łożko**, ale też **altem** i **na palzie**. Hajże na **l**! A może hajże na **u** spółgłoskowe? Doprawdy, nie obejdziemy się bez językoznawcy, my tu możemy wysuwać postulaty, protestować, radzić i tworzyć atmosferę, ale będziemy zawsze powierzeni. Będziemy stawiać nieistotne problemy, jak pisanie „z poza zagranicy”, a któż tak mówi? Wystarczy „spoza granicy”.

A wreszcie po co i dlaczego tak się oburzać na słownik ortograficzny? Bardzo to potrzebna przy pracy książeczka, która rozwiązuje sprawy przekraczające możliwości nauczania w szkole. Należy zachęcać kogo się da do używania słownika, nikogo to nie kompromituje. Zawsze też będzie potrzebny. Pisownia konsekwentnie fonetyczna jest fikcją. Błędów się nie przewidzi z góry. Zawsze będzie polem błędów coś takiego jak **babka** z **dziadkiem** na **lawce**, **prośba** i **groźba**, **raz po raz** i **raz dwa**. Kolega dr Rosiak, trochę paradoksalnie rzecz ujmując, przytoczył nawet **glufki**. Doprawdy jednak łatwiej będzie pisać **glówki**. Tak nas drażniące ó ma w języku rosyjskim odpowiednik w **e** z dwiema kropkami na przegłos je pod akcentem. Co do mnie, **ruża** już nie pachnie, chyba kosmetykami. Trzeba będzie chyba dać w **lep** (tak dynamicznie) zbyt daleko idącym projektem. Niech jednak Pan, Szanowny Kolego, nie myśli, że to Panu. Tylko projektem! Obawiam się bardzo, że ich wykonanie byłoby po główkach dzieci, a społeczeństwo po kieszeni.

Maria Grzędzielska

List z Olsztyna

WŁODZIMIERZ
WÓJCIKOWSKI

Nazwisk ich nie spotyka się na pierwszych stronach najpoczytniejszych tygodników literackich, na temat ich twórczości nie prowadzi się zaciętych i głośniejszych sporów w społeczeństwie.

Tym najbardziej zasłużonym, tym, którzy odeszli, poświęca się kilka uwag w podręcznikach literatury, przypominu o przypadającej rocznicy petitową notatką w prasie. Urządza się czasem także bardziej głośnie w zamierzeniu obchody — nie wybijają się one jednak na pierwszy plan — mijają, mieszcząc się w szeregu spraw nasuwanych przez coraz szybsze tempo życia. I spraw bardziej efektywnych, błyskotliwych.

A praca ich zasługuje na uznanie o wiele większe. Ma je dla nich region, dla którego postanowili tworzyć. Opowiadano mi, że często ludzie odrywają się od pracy w polu, gdy zobaczą listonosza, i biegną, by przeczytać pisany gwarą i dotykający istotnych zwykle problemów życia list Kuby spod Gietrzwałdu zamieszczany w „Słowie”.

(Dokończenie na str. 8)

Gdybym był kobietą...

Ryzykowne są te wszystkie gdyby. W trybie przypuszczającym można czynić najrozmaitsze obietnice, które nie wiadomo, czyby się zrealizowały w trybie orzekającym, gdyby możliwość stała się rzeczywistością. Ale puśćmy wodze fantazji.

Przede wszystkim, gdyby się to stało, czy czułbym się upośledzony? Myślę, że nie. I tak byłbym człowiekiem, kto wie nawet, czy nie lepszym, nie delikatniejszym, z pewnością piękniejszym, tylko że mniej pełnym. Ale brak tej pełni hojnie wynagrodziłyby tamte zalety. Więc gdybym był kobietą, niosłbym wysoko sztandar kobiecości, choćby ten sztandar był tylko wiotką, powiewną sukienką. Broniłbym zażarcie cech swojej płci, podkreślałbym ją na każdym kroku, nie upodabniał się w niczym do mężczyzny. Prawdopodobnie nie paliłbym papierosów i nie pił wódki, chyba że w wyjątkowych wypadkach. Oczywiście starałbym się podkreślić swoją urodę i używał kosmetyków, ale bardzo oględnie i umiarkowanie. A przede wszystkim unikałbym tych jakże częstych, czasami nawet u sawantek, ujemnych właściwości kobiecych: folgowania językowi, ostrzeżenia go na bliźnich, niezdrowej ciekawości i plotkarstwa. Słowem, nie miałbym nic przeciwko temu, aby być kobietą, ale za nic nie chciałbym być babą.

Jako panna, oburzałbym się, gdyby na kopercie listu w adresie figurowało to określenie, a w nazwisku nie używałbym nigdy przyrostka ówna. Nie dlatego, iżbym się wstydził, że nie zdobyłem męża, ale co komu do tego. A zresztą Iksówna z powodzeniem może nie być panną. To jej prywatna sprawa. Z kolei, będąc mężatką, nie posługiwałbym się sufiksem — owa. Nie

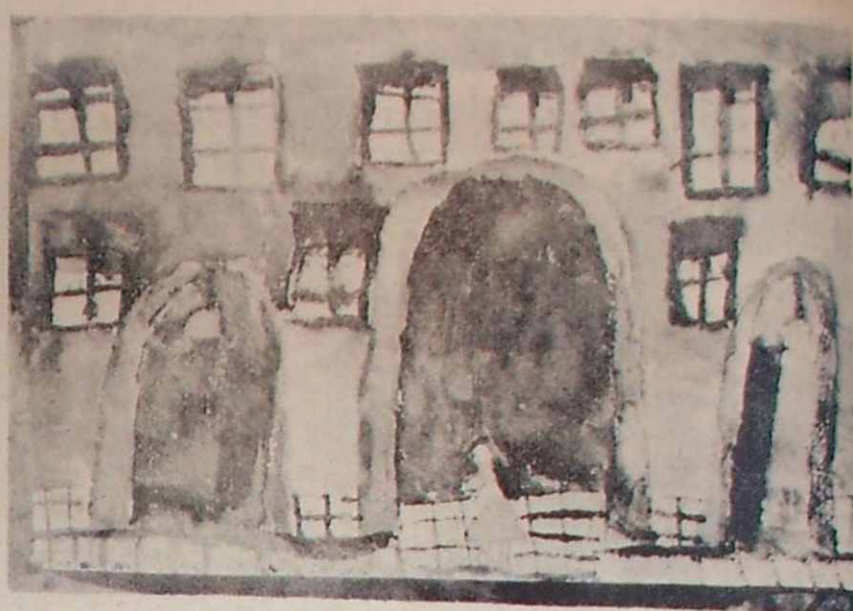
chciałbym być rzeczą ani własnością nawet najbardziej ukochanego człowieka. Janowa może być marynarka, kamizelka czy koszula, ale nie jego żona. A już najbardziej mierzłoby mnie, gdyby tytuły i honory mojego męża miały bez zastęgu spadać na mnie. Uważałbym za obrazę, gdyby ktoś nazywał mnie profesorką, mecenasową czy nawet prezydentową, jakbym bez tego określenia sam przez się nie miał żadnej wartości.

Walczyłbym z kompleksem niższości przejawiającym się w wartościowych nawet kobiet w formułowaniu ich funkcji zawodowych czy tytułów naukowych. Skoro doskonale można być uczennicą i studentką, dlaczego po ukończeniu studiów trzeba stać się dyrektorem, profesorem, docentem, magistrem, dyrektorem, a nie doktorką, profesorką, docentką, magistrami czy dyrektorką? Przecież istnieją praczki, tkaczki, tancerki czy aktorki obok pracy, tkaczy, tancerzy i aktorów. Czy dlatego, że tak imponuje zdobycie wyższych studiów i zajmowanie stanowiska, które dawniej było dostępne tylko dla mężczyzn? I przez to teraz trzeba się upodobnić do nich i zmuszać do koszlawienia języka i mówienia: byłem u pani doktor Iksowskiej, rozmawiałem z panią profesor Igrekiewicz.

Czy będąc kobietą pozwoliłbym się mężczyznom całować w rękę? Ależ tak. Te hołdy sprawiałaby mi przyjemność, a i im nieraz także. Czy nie należałoby mi się zresztą szacunek? Mężczyźni znają tylko rozkosz miłości, kobiety i jej cierpienie. Tak samo uważałbym za rzecz naturalną ustępowanie mi miejsca, podawanie płaszcza czy dawanie pierwszeństwa przy przechodzeniu przez drzwi. Ale na ukłon mężczyzny nie zawsze bym czekał. Znając kogoś bliżej, a widząc, że mnie nie dostrzegł, nie uważałbym za ujmę dla swej kobiecości, gdybym pierwszy powitał go ukłonem.

Tyle nasunęło mi się uwag na temat tego gdyby. Na razie, w obecnym wcieleniu, jestem mężczyzną i wcale tego nie żałuję.

X. Rovay



Maria Kacka (lat 8) — Brama
Wystawa Sztuki Dziecka w LDK.

Foto Urban

List z Olsztyna

(Dokończenie ze str. 7)

Wszyscy niemal olsztyńscy literaci skupieni w ZLP to rodowici Warmiacy i Mazurzy: M. Lengowski, A. Śliwa, Fryd. Leyk, Dopatka. Niektórym udało się nawet w czasie panowania Niemców ukończyć polskie szkoły nauczycielskie. Ukończyli je: Mallek, Rudczyński, M. Zientara-Malewska, która nawet bezpośrednio brała udział w walce o szkołę polską. Jeszcze przed wojną działali tu również E. Sukertowa-Biedrawina i Wład. Gębik — po wojnie dopiero osiedlił się K. Oleksik, Turkowski, Martusiewicz.

Wszyscy są mocno związani z regionem Warmii i Mazur — dla niego i o nim przede wszystkim piszą. Żaden ośrodek literacki w kraju nie ma tego rodzaju skupienia pisarzy regionalnych.

Literatura regionalna, literatura małych ośrodków — zwłaszcza tych, które długo znajdowały się pod uciskiem i nie były należycie rozwinięte gospodarczo, ma swoje odrębne prawa i właściwości, ukształtowane warunkami historycznymi, w jakich powstała. Na Warmii i Mazurach sprawą istotną było dla niej utrzymanie języka polskiego i narodowości (ten fakt

stoi często u podstaw rozpoczęcia pracy literackiej przez działaczy społecznych i ludowych). Skierowana była do ludu (i z ludu często wyrastała), przeto musiała być najprostsza i niewyszukana. Utylitarnej i doraźny cel, jakiemu służyła, nie dawał jej czasu na poszukiwania formalno-literackie — jej zasadniczym dążeniem nie było poszukiwanie nowych wartości, lecz walka o utrwalenie i zachowanie posiadanych walorów narodowych. I zachowanie ich jest główną zastawą tej literatury.

Dziś zmieniły się warunki jej rozwoju. Dziś jej nacelnym zadaniem jest utrwalenie historii walki o polskość, przypomnienie o tym współczesnym oraz praca nad włączeniem ludności regionu w nurt życia całego narodu, kształtowanie tego życia i dawanie jego obrazu. Jest dalej pracą „u podstaw”.

Walka o zachowanie wartości narodowych i wyrabianie patriotyzmu — wyrażały się m. in. w twórczości ludowej Warmiaków i Mazurów. Ziemie Kąjki i Samulowskiego do dziś jeszcze tym się wyróżniają, że nigdzie tutaj nie ma tytułu pisarzy ludowych (ZLP w Olsztynie chce nawet w r. 1960 z okazji Milenium urządzić ich zjazd). Nic więc dziwnego, że projekt ten wzbudził tam żywy odzew i zainteresowanie. Nie idzie jednak o tym w parze należyte zaspokojenie i pobudzenie tego zainteresowania. Olsztyńscy literaci nie mają zapewnionych środków działania w tym kierunku. Zadania tego nie potrafi spełnić „Słowo na Warmii i Mazurach” — tygodniowy dodatek „Słowa Powszechnego”, inne bowiem pisma zbyt mało zajmują się tą problematyką. Olsztyn ma tylko organ wojewódzki — „Głos Olsztyński” i mutację „Życia Warszawy” — „Życie Olsztyńskie”. Istnieje tam wprowadzenie aktywne i pożyteczne Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”, prowadzące m. in. działalność wydawniczą (znane nam np. Komunikaty Warmińsko-Mazurskie, ale tego rodzaju pisma nie wydaje).

Zagadnienie to jest tym bardziej ważne, że na Warmii i Mazurach (jak na całych ziemiach odzyskanych) jest aktualna przecież w dalszym ciągu sprawa ich zupełnej integracji z resztą kraju w dziedzinie świadomości społecznej. Autorytet olsztyńskich pisarzy wśród miejscowego społeczeństwa znacznie mógłby pomóc w przyspieszeniu tego procesu. Nie wolno o tym zapominać i należy zapewnić im większe możliwości oddziaływania — zarówno przez prasę, jak i wydania książkowe ich utworów, które ukazują się stosunkowo rzadko i w niewielkich nakładach.

Odpowiedzi Redakcji

P. P.
Bron. z Lublina. Próbkę Pani przeczytałam z zainteresowaniem. Kulturalne wyzwalanie kompleksów. Pod względem wartości artystycznej nie nadawałyby się jeszcze do druku w „Kamencie”, ale chyba warto pracować dalej.
Dion Mal. w Ostrołęce. Może zamieścimy „Mazurek Szopena”.

Nowinkarz

NOTY

SZESZCZESIECIULECIE URODZIN NEZVALA. Nr 22 „Literarnych Nowin” poświęcono pamięci Wilezława Nezvala, zmarłego przed dwoma laty, a urodzonego 26 maja 1900 r. Numer otwiera artykuł Ladislava Sztolla „Poeta naszego świata”. Wspomnienia bliższych, wypowiedzi poetów, utwory Nezvala, wiersze poświęcone twórcy „Edisona”, reprodukcje jego obrazów i fotografie składają się na ten niezmiernie ciekawy numer. Nie zabrakło w nim i głosów obcych pisarzy: o Nezvalu wypowiadają się Tristan Tzara, Nicolas Guillen, Stefan Szczępczow, Philippe Soupault, Günther Jarosch. Tak, znają i cenia Nezvala w Związku Radzieckim i na Zachodzie. Tylko u nas jest prawie nie znany...

PRZECOCZENIE. W żadnej z dwóch części tomu IV zbiorowego wydania dzieł Juliana Tuwima, temu poświęconego przekładom, nie znajdująemy erotyków Leona Monossona „Ostatnie ukochanie” i „Kryształki siedmiocenne”. Rzecz ukazała się pod pierwszym tytułem w małym formacie (10 na 7,5 cm). W estetycznej oprawie książeczce na str. 4 czytamy: „Odbito w lutym roku 1929 w drukarni St. Mertensa w Warszawie. Z ogólnej liczby 1000 egz. — 100 numerowanych w luksusowym wydaniu”.

MOJE TRZY GROSZE w związku z listem L. K. i odpowiedzią X. Rovaya. W n-rze 5 „Języka Polskiego” za wrzesień — październik 1946 znajdujemy na str. 157—159 artykuł J. S. „Z wahań bieżącego języka”, w którym autor między innymi porusza sprawę czasowników reasumować i resumować. Spleając się o poprawność każdej z tych form radziłbym ten artykuł przeczytać.

„CZEGO NIE TKNAŁBYM SIĘ TYLKO, wszystko ma własną oś i orbitę.” Niestety taki brzydki rusecizm wyczytałem w przekładzie wiersza Leonida Martynowa, zamieszczonym w n-rze 5 „Twórczości” na str. 50. Numer ten poświęcony współczesnej literaturze radzieckiej zawiera wiele interesujących pozycji, z których najciekawsze są serdeczne wspomnienia Ilii Erenburga o Julianie Tuwimie pt. „Poeta i człowiek”.

TIBI UNO. Stylem papieskim dajemy „Przekroju” dyspensę na szerzenie w milionowym nakładzie kiepskiej polszczyzny. Oto sformułowanie dat na majowych numerach: 1 maj, 8 maj, 15 maja, 22 maja, 29 maj. I tak wokoło, Maciejku, to w te, to wewte. Ponieważ „Przekrój” czuje się wyższy ponad wszelkie uwagi, a nikt inny poza nami tym się nie przejmując, po co mamy psuć sobie nerwy. Używajcie sobie, piszcie jak chcecie!

-kaj-

Księgarskie nowalijki

W dzisiejszych nowalijkach chcę zapowiedzieć kilka pozycji z zakresu literatury „trudniejszej”, które, mimo czasami niskich nakładów, są dla naszego dorobku piśmienniczego przeważnie cenniejsze od wielu „bestsellerów”.

Oto na półkach księgarskich ukazuje się niebawem obszerne dzieło St. Kolbuszowskiego pt. „ROMANTYZM, MODERNIZM”, wydane przez „Słask” w niedużym nakładzie (1700 egz. opr. brosz., c. zł 50), a zawierające szereg rozpraw o twórczości Mickiewicza, Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Berenta, Kasprzycza, Zeromskiego oraz obszerny esej pt. „Literatura a życie polskie w latach 1918—1939”.

Sztuka pisarska H. Sienkiewicza, po Nofere zajął się ostatnio również A. Stawar i J. Kulezycka-Saloni. Prace krytyczna Stawara pt. „PISARSTWO H. SIENKIEWICZA” wydał PIW w dość dużym nakładzie (10.000 egz., opr. brosz., c. zł 22), książkę zaś Kulezyckiej-Saloni pt. „HENRYK SIENKIEWICZ”, przeznaczoną do użytku raczej szkolnego, wydał PZWS w ramach biblioteki „Polonistyki” w nakładzie 5.000 (opr. brosz.

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Nr 26 „Kamena” za czerwiec 1935 roku zawierał wiersze Mariana Czuchnowskiego, Olgii Daukszy, Anatola Mikulki, Stefana Napierkiego, Antoniego Madeja, Ryszarda Matuszewskiego, Adama Bieleckiego, Czesława Janczarskiego, K. A. Jaworskiego, Wiktora Gwoździńskiego, Stanisława Bakowskiego, Pawła Hertza, Włodzimierza Słobodnika, Tadeusza Sarneckiego, Jana Splewaka, prozę Józefa Czechowicza i Brunona Schulza, artykuły Sergiusza Kulakowskiego (o Władysławie Chodasiewicz), Stefana Napierkiego (wspomnienie o Klubundzie) i Ludwika Maja, przekłady wierszy Chodasiewicza (tłum. W. Słobodnika i K. A. Jaworskiego), przekłady z poezji niemieckiej P. Hertza, S. Napierkiego, L. Lewina i Z. Pawłowskiego, przegląd książek najnowszych J. N. Kłocowskiego, noty i słowo od redakcji i wydawnictwa. Numer zdobyła wkładka Inorytowa Zenona Waśniewskiego „Komendant w okopach”.